

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie Rs. 7 kop. —
Półrocznie „ 3 „ 50
Kwartalnie „ 1 „ 75
Miesięcznie „ — „ 60

Za odnośnienie do domu
dopłaca się kop. 5 mies.

Za zmianę adresu dopłaca
się kop. 20.

Oena pojedynczego nu-
meru bez dodatku k. 20.

GŁOS

Prenumerata na Prowincyi
i w Cesarstwie:
Rocznie Rs. 9 kop. —
Półrocznie „ 4 „ 50
Kwartalnie „ 2 „ 25

Za Granicą:
Rocznie 12 guld. — 18 m.
Półrocznie 6 „ 9 „

Ogłoszenia przyjmuje kan-
tor Redakcyi po kop. 10 za
wiersz petitowy lub za je-
go miejsce. Reklamy po
kop. 25.

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCYJA i ADMINISTRACYJA
WARECKA Nr. 9.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden
zeszyt dzieł Spencera.

TREŚĆ: I. Niespodzianka, przez J. L. P.—II. Lud w programach demokratycznych, przez A. Więckowskiego.—III. Drugi zjazd historyków polskich, przez Władysława Jab. . . .—
IV. Bez obłudy, przez Maryjana Bohusza.—V. Głosy.—VI. Z obcego świata, przez J. H. Siemienieckiego.—VII. Listy z Niemiec, przez Mariusza.—VIII. Przegląd społeczny.—
IX. Przegląd polityczny.—X. Kronika powszechna.—XI. Odpowiedzi od redakcyi.—XII. Ogłoszenia.—XIII. Odcinek: Kasia-mamka, przez Jerzego Maczuga. (Dokończenie).

Niespodzianka.

Kilkakrotnie już zwracaliśmy uwagę na ten znamieny dla naszej epoki fakt, że obcowanie polityczne, ekonomiczne, a nawet umysłowe państwa i ludów obejmuje coraz szersze zakresy, staje się coraz ściślej. Kolonizacja europejska rozwija się i mnoży we wszystkich częściach świata, wytwarzając nowe organizacje narodowe. Rozwój stosunków handlowych, dzięki wielkiemu ułatwieniu komunikacji, wciąga do wspólności międzynarodowej kraje, które dotychczas stały za nawiasem życia historycznego, a raczej znajdowały się w zupełnym odosobnieniu kulturalnym. Mahometańskie państwa Azji, Chiny, zwłaszcza zaś Japonia zadzierzgamą coraz silniej węzły, łączące je z kulturą europejską. Narody te, posiadające własną, starą i samodzielną cywilizację, wyrzucić muszą również prędzej czy później znaczny wpływ nawet na umysłowość naszą. Do ogólnego skarbca cywilizacji, która dotychczas była, że tak powiem, „europeo-centryczną”, wprowadzą one nowe czynniki i nadadzą jej bardziej wszechludzki charakter. Teraz, kiedy mówimy o „ludzkości”, kiedy wykreślamy prawa jej rozwoju, mamy wyłącznie prawie na myśli grupę europejską, lub w najlepszym razie europejsko-amerykańską, która stanowi zaledwie 1/4 zaludnienia całego globu. Nasze, t. zw. ogólnoludzkie dążenia dotyczą, w najlepszym razie, tylko tej części rodu ludzkiego, są więc formułą tylko pewnego, ograniczonego zakresu stosunków. Jak szkoła błędnie nas uczy, że przeszłość naszej cywilizacji — to dzieje Hellady i Rzymu, lekceważąc całą cywilizację Egiptu, Babilonu, Indyi, tak nauka społeczna i polityka błędnie twierdzą, że formuły, wyciągnięte z rozwoju dziejów grupy ludów europejskich, zastosować się dadzą do całej ludzkości. Dzisiaj jedne Chiny obszarem i ludnością przewyższają już Europę, a za lat 50, najdalej 100 wobec nowych państw Ameryki i Afryki, wobec starych państw Azji — nasza Europa pod względem ekonomicznym, a może i umysłowym okaże się marnym drobiazgiem.

Nie mamy zamiaru rozwijać tu przedmiotu, który wymaga obszernych i gruntownych rozpraw, zaznaczamy tylko luźne uwagi, jakie rozwój spraw poza-europejskich od czasu do czasu nasuwa. Obecnie właśnie daje do tego powód wiadomość o zwołaniu pierwszego parlamentu w Japonii.

Od lat dwudziestu Japonia szybko przeobraża się wewnątrz i coraz ściślej zespala z cywilizacją europejską. O kraju tym i ludzie krążą wśród publiczności dotychczas wiadomości zgoła fałszywe. Dostyć powiedzieć, że nie tylko w podręcznikach szkolnych, ale nawet w poważnych dziełach znajdujemy zwykle japończyków obok chińczyków, z temi samymi uwagami o jednych, jak o drugich. Tymczasem są to ludy zgoła odmiennie pochodzenia, językiem i kulturą, w najszerszym znaczeniu tego wyrazu. Między językiem japońskim i chińskim nie ma żadnego podobieństwa, należą one nawet do grup zupełnie innych. Różnica jest taka, jak np. między węgierskim a angielskim. Nie mniej znaczne są różnice rasowe, kiedy bowiem chińczycy stanowią odłam t. zw. rasy żółtej, narodowość japońska pochodzi z mieszaniny szczepu białego (allofile biali — ainosy i indonezyjczycy) i żywiołów malajskich, oraz chińsko-mongolskich. Widocznym jest wprawdzie wpływ kultury chińskiej, ale wyłącznie prawie pod względem zewnętrznym, wiele zaś cech wspólnych znajduje objaśnienie w bliższym sąsiedztwie.

O kulturze japońskiej, o stosunkach społecznych tego kraju, krążą również rozmaite dziwolągi, puszczone w obieg przez podróżników, którzy nie umieli nieraz po prostu zrozumieć odmiennych form życia, i, sądząc z pozorów, wyprowadzali zgoła fałszywe analogie.

W ostatnich latach wiele tych błędów i kłamstw sprostowano, ale wiele jeszcze pozostało w obiegu, pomimo, że setki japończyków rok rocznie przybywają dla kształcenia się w szkołach europejskich, że tysiące europejczyków przebywa w Japonii.

Na wystawie paryskiej ze zdziwieniem dowiedziano się, że pod względem produkcji umysłowej, tj. ilości wydawanych pism i książek, Japonia zajmuje dziś piąte czy szóste miejsce,

przewyższając nie jedno wielkie państwo europejskie, że w kraju tym istnieje kilkanaście tysięcy szkół, że wyższe posady zajmują tylko ludzie z uniwersyteckim wykształceniem. W uniwersytecie w Jeddo wykładali z początku profesorowie europejczy i amerykańscy, obecnie jest już kilku tuziemców, a wielu stypendyjatów rządowych przygotowuje się do objęcia katedr. Z każdym rokiem powstają nowe szkoły specjalne. Coś podobnego w historii przedstawiała tylko Rosja za Piotra Wielkiego, ale przeobrażanie się Japonii idzie nawet prędzej.

Kiedy przed 9 laty mikado japoński zapowiedział, że w 1890 r., nada narodowi swemu konstytucyję, do której rząd stopniowo będzie społeczeństwo przygotowywać — publicyści europejscy mieli materiał gotowy do mniej lub więcej dowcipnych żartów. Ale dziewięć lat upłynęło i w d. 1 lipca r. b. odbyły się zupełnie prawidłowo wybory. Poprzedzała je w ciągu lat kilku ożywiona działalność przedwyborcza w prasie, której organy wzięły na siebie obowiązek przygotowania programów stronnictw. W dziennikarstwie japońskim, jak i w społeczeństwie, istnieją rozmaite stronnictwa, zaczynając od wyrażnych konserwatystów, aż do radykałów z odcieniem socjalistycznym, jakby u nas, powiedziano. Zdaniem dzienników angielskich, japończycy z wielką energią i świadomością wstąpili na arenę życia publicznego. Walka wyborcza toczyła się między czterema stronnictwami, a — pod tym względem Japonia wyżej stoi np. od Niemiec — rząd nie próbował wcale sformować swej własnej partii i nie wywierał żadnego nacisku.

Stronnictwa w Japonii dzielą się tak: konserwatyści (Hoshu-to), 2) radykalni konserwatyści, a właściwie narodowcy (Daido-Dauketsu), 3) umiarkowani, czyli liberalni (Kaishin-to), i 4) radykalni (Iiyu-to).

Główną partją polityczną, najbardziej wpływową i najlepiej zorganizowaną, są umiarkowani, do których należy większość wykształconych w Europie japończyków. Kaishin-to zajmują dziś wysokie stanowiska w rządzie, ale pomimo to dążą do reformy.

W plakatach wyborczych wystawili 16 punktów, mianowicie: reformę zarządu skarbu,

oszczędności w wydatkach, niżenie podatku gruntowego, ulepszenie służby wojskowej, reformę szkół i zarządów miejscowych, tj. autonomicznych, rozszerzenie prawa wyborczego, wreszcie ujednostajnienie władzy centralnej za pomocą zorganizowania gabinetu ministerjalnego i t. d.

Konserwatyści, zwłaszcza t. zw. Daido Dauketsu, nie są zachowawcami w europejskim znaczeniu tego wyrazu, nie są wcale wstecznikami pod względem społecznym. Uznając konieczność reform, pragną oni tylko zachowania tych właściwości narodowych, które, ich zdaniem, dla rozwoju i szczęścia ludu są pożądane. Te właściwości narodowe należy rozwijać i doskonalić, unikając naśladowania instytucyj, które do stosunków japońskich nie pasują. Przywódcy stronnictwa narodowego są również ludźmi wykształconymi, większość pobierała nawet nauki w Europie.

Radykaliści japońscy należą natomiast do wielbicieli kultury europejskiej. Przyjmując program umiarkowanych, żądają jeszcze zupełnej swobody słowa i zebrań, skrócenia terminu służby wojskowej, obieralności wszystkich urzędników, nawet administracyjnych—gubernatorów, prefektów i t. p., zniesienia majoratów szlacheckich, zaniechania systemu protekcyjnego w stosunkach przemysłowych i handlowych, wreszcie wprowadzenia sądów przysięgłych. Odłam skrajny radykalistów domaga się regulacji przymusowej stosunków agrarnych i specjalnego prawodawstwa dla pracujących.

Jak widzimy więc, japończycy w zakresie życia politycznego wystąpili z zupełną świadomością i, doprawdy, nie wiele czego nauczyć się mogą od Europy. Dziennikarze, niemieccy i inni, którzy złośliwie żartowali sobie z parlamentaryzmu japońskiego, mogą raczej wielu rzeczy nauczyć się od tych mniemanych barbarzyńców. Ale, jak się zdaje, nie tylko pod tym względem Japonija może

być przykładem dla Europy, Budżet jej np. w którym wydatki na szkoły i instytucje naukowe oraz na cele produkcyjne, jak budowa dróg, kanałów, portów grają najważniejszą rolę, i znacznie przewyższają wydatki na cele militarne—zasługuje również na uwagę i na naśladowanie. O stosunkach politycznych i społecznych Europy mają, bodaj, prawo japończycy wyrażać się z taką samą ironią, z jaką jeden z publicystów tamtejszych, Yo-suma wyraził się o kwestyi kobiecej.

Przytoczywszy rozpowszechnione przez podróżników zdanie, że młode japonki przed zamążpójściem kształcą się w domach publicznych, Yo-suma nie przeczy wcale tej wiadomości, nie polemizuje, ale charakteryzuje zaraz obok stosunki europejskie. Ironicznie twierdzi on, że ukształceni europejczycy są wszyscy prawie wyrafinowanymi rozpustnikami, którzy niezdolni są do normalnego zaspakajania popędów płciowych. Przyszłe swe żony hodują oni w umyślnie na ten cel urządzonych zakładach, pensjonatach, gdzie młode dziewczęta pod kierunkiem starych, niezamężnych kobiet (zakonnice) ćwiczą się we wszelakich rodzajach przeciwnej naturze rozpusty, dla których — „nie ma zwykle nazw w naszej mowie”.

Jest to karykatura, ale karykatura, zawierająca sporą dozę słusznej ironii.

J. L. P.

Lud w programach demokratycznych.

(Dalszy ciąg z N. 29 Głosu).

V.

Prawie cały słownik socjologiczny składa się z nazw, używanych także w mowie potocznej, która daleko więcej dba o wyrazistość, niż o ścisłość. Do takich należy między innymi wyraz „społeczeństwo”.

W pospolitem rozumieniu i potocznym użyciu społeczeństwo oznacza mniej-więcej to samo, co

naród. Społeczeństwo francuzkie lub angielskie znaczy po prostu ogół francuzów lub anglików bez uwagi na zewnętrzne stosunki tych narodów. Odpowiada mu w takich razach pojęcie konkretne.

Lecz teoria nie zna „społeczeństwa” francuzkiego angielskiego; zna ona tylko pierwotne, barbarzyńskie, ucywilizowane, narodowe, terytorjalne, feodalne, kapitalistyczne, i t. p. Wszystko to są pojęcia oderwane i samo społeczeństwo jest tu abstrakcją. Odpowiada mu konkretnie pewien układ instytucyj społecznych, czyli form organizacyi historycznej jednostek, tworzących dane ciało zbiorowe.

Abstrakcja ta, jak wiele innych, podlega stopniowaniu. Im wyższy jest jej stopień, tym treść konkretna uboższa. Najwyższym stopniem jest Ludzkość.

Na wcześniejszych szczeblach socjalizacyi pojęcie to streszcza w sobie zaledwie pewne właściwości i rysy człowieczeństwa, całemu rodzajowi ludzkiemu wspólne. Jest ono wówczas koncepcją etyczną. Odkąd jednak rozwój dziejowy do rysów tych dołącza stałe stosunki, określone związki i interesy wspólne—staje się ono koncepcją społeczną. „Idea” ludzkości,—powiedziałby Hegel—zrealizowana przedtem *podmiotowo* w umysłach, realizuje się teraz *przedmiotowo*—w instytucjach społecznych. Materyjalistyczny zaś uczeń jego dodałby tylko do tego, że realizatorką nie jest tu własna samorzutność idei, lecz—produkcja towarowa....

Społeczność uniwersalna, którą przeciwstawiamy społeczeństwu narodowemu, jest synonimem ludzkości w tem drugim, czyli społecznym znaczeniu; inaczej mówiąc,—jest więc oderwanym wyrazem współczesnych, stałych, przeważnie ekonomicznych stosunków ogólnoludzkich.

Nad określeniami temi zatrzymujemy się dla tego, że dwa te pojęcia—społeczeństwo narodowe i społeczność uniwersalna—to dwa widnokreśli myśli, dwa prądy widzenia rzeczy społecznych.

W szczególności odpowiadają im dwa odmiennie, niekiedy nawet wyłączające się nawzajem zapatrywania na istotę i doniosłość antagonizmów klasowych w łonie społeczeństwa kapitalistycznego.

Chcemy się obecnie nad tem zastanowić. Wystawmy sobie dwie figury schematyczne—dwie piramidy nierównej wielkości i nieforemnych kształtów,—wznoszące się obok siebie na

KASIA MAMKA.

(Obrazek społeczny).

NAPISAL

Jerzy Maczuga.

(Dokończenie).

Pana Przyrzeckiego dotąd nie ma. Czyżby nie przyszedł? ale nie... oto jest. Co to będzie? co to będzie? (szumi w głowie pięknej pani). Ach, jak ona lubi drażliwe sytuacje! Teraz już nie odpowie grzecznym sąsiadkom, że Julcia śpi jeszcze; każe ją zaraz przynieść.

Wdzięczna za to, iż nie pokrzyżował jej planów, z wyjątkowo miłym uśmiechem podaje rękę biało-różowemu panu Przyrzeckiemu i z niewinną miną pyta, czy nie był czasem słaby, tak dawno nie było go w „Ustroniu” nad jeziorem!

Tak, był trochę słabym; a że tęsknił za „Ustroniem”, dowodzi tego długi i gorący chociaż cichy pocałunek, złożony na alabastrowej rączce.

Teraz rozmowa naprawdę się ożywiła. Gospodyni jest piękniejszą, niż zwykle: lekkie rumieńce i mocno błyszczące oczy dodają jej nowego powabu.

To też sędzia nie opuszcza jej krzeselka, z czego jest nawet trochę nierada, bo w danej chwili nie będzie go mogła dobrze obser-

wować. Poradzi jednak sobie, a tymczasem przywołuje Micia i zcicha każe mu zawołać do salonu Kasi z Julcią.

Ośmioletni Micio był świadkiem drażliwej rozmowy mamy z papą i z panią Grau. Znając więc potrochu całą sytuację, wpada z tryumfującą miną do sypialnego pokoju i woła rozkazującym głosem:

— Sędzia już przyszedł! Bierz Julcię i chodź do salonu: mama każe!

Przerażenie a potem oburzenie odbiło się w oczach biednej dziewczyny. Wiedziała, że musi się pokazywać ludziom — a więc i sędziemu—w swojej nowej roli mamki; postanowiła sobie nawet z pokorą znieść ten wstyd, jako pokutę za przewinienie, byleby tylko Stefki Bóg nie karał; ale oburzyła ją myśl, zawarta w słowach Micia. Jakto, więc z jej wstydu robią sobie zabawkę. Sucho odparła, że teraz iść nie może, bo dziecko śpi.

— Musisz! Mama powiedziała, żebyś Julcię obudziła, jeżeli śpi, a koniecznie przyjdź musisz zaraz.

Z ponuro ściągniętymi brwiami bierze Kasia dziecko na ręce, uspokaja płaczące i rozespiane, a potem idzie za Miciem do salonu. Nic nie widzi, bo powieki ma spuszczone i podnieść ich nie może za nic; nic nie słyszy, bo w duszy jej tylko huczą wyrazy:

— „Stefce dobrze! Stefce dobrze!”

Nie wie, jak długo tam stała, co do niej mówiono, co odpowiadała i jakim sposobem

wróciła do kołyski Julci. Teraz czuje tylko straszliwy żal do całego świata, a — w szczególności do „dobrej, złotej pani”.

A złota pani? Jest trochę nadąsaną. Tyle się spodziewała, a tu nic. Wprawdzie Kasia była bladą, jak płótno, a sędzia (wbrew jej przewidywaniom) czerwony, jak pluszowy przód jej szlafrocza, ale na tem koniec. Darowałaby może jeszcze sędziemu, że po paru już minutach zaczął przyglądać się Kasi z widocznym zajęciem, ale oburzyło ją, iż ta ostatnia potrafiła spokojnie i przytomnie odpowiadać paniom, wypytującym się o dziecko.

Pani Alina gryzie więc z niezadowoleniem długie paznogi i wyrzuca sobie, jak mogła „taką dziewczynę” podejrzewać o jakieś, więcej ludzkie uczucia. To nawet mówić nie umie, jakżeby więc czuć umiało, byleby miało gdzie się wyspać i co zjeść, to już jest zadowlone.

Nad modrem jeziorem spaceruje para ludzi. Wesoła, przyciszona rozmowa sprawia widocznie obojgu wielką przyjemność.

Pani Alina czuje się dzisiaj rzeczywiście zupełnie szczęśliwą—ten sędzia potrafi być tak miłym! Czy jednak przyznawałaby mu ten przymiot, gdyby wiedziała, co on, patrząc jej czule w oczy, myśli? Pewnie nie, bo spotkałby ją drugi i trochę więcej obrażający jej miłość własną zawód. Oto sędzia myśli, iż wysłałby chętnie swoją piękną towarzyszkę

wspólnej podstawie i przedstawiające nam stosunki klasowe społeczeństwa, w tem założeniu, że się składają z warstw, wyobrażających rozmaite klasy—jedną ludową, drugą uprzywilejowaną, oraz że warstwy te następują po sobie w porządku wzrastającej odrębności klas, poczynając od wspólnej podstawy, która odpowiada klasom pośrednim, przejściowym, najmniej wyodrębnionym.

Przypuśćmy, że na przyzwoitej wysokości nad podstawą przecięliśmy obie te piramidy płaszczyzną poziomą, która odgraniczy nam klasy, znajdujące się ze sobą „w antagonizmie tradycyjnym, po największej części bezwiednym i biernym”, od klas, będących ze sobą „w antagonizmie ekonomicznym, w znacznej części świadomym i czynnym”.

Przypuśćmy dalej, żeśmy rozciągnęli tę płaszczyznę na wszystkie społeczeństwa nowoczesne, w takiż sam sposób zeschematyzowane.

Społeczeństwa, nieznacznie w systemie wielkiego przemysłu posunięte—jakieś, np., społeczeństwo chińskie, ledwie poczynające dopiero szczepić u siebie gałązki kapitalizmu—prawie całkowicie pod nią pozostaną; społeczeństwa, znacznie posunięte, będą się nad nią odpowiednio wychylały.

O stanie kapitalizmu w społeczeństwie dosyć blizkie wyobrażenie dają liczby, wyrażające stosunek jednostek pracujących na siebie (working for themselves) i pracujących z najmu („working for wages”). We Francji, np., na 15,000,000 tak zwanej ludności czynnej („population active”), liczą około 5,000,000 drugiej kategorii, w tej zaś około 2,000,000 z 5,000,000 ludności czynnej wiejskiej. Cała ta masa najemnicza z kilkudziesięciu tysiącami przedsiębiorców kapitalistycznych byłaby reprezentowaną przez warstwy, leżące po nad płaszczyznę przecięcia. W Anglii lub Belgii mielibyśmy stosunek jeszcze większy.

Rozglądając teraz nasz dyjagram wzdłuż i w poprzecz, przechodzimy od jednego społeczeństwa narodowego z rozmaitemi jego właściwościami historycznymi, kulturalnymi, gospodarczymi, politycznymi, do drugiego; rozglądając go z dołu do góry,—od jednych klas społeczeństwa do drugich—od jednych, dawniejszych lub mniej określonych wytworów jego socjalizacji do drugich, późniejszych i więcej określonych—od rozmaitych jego idyokrazji narodowych do sto-

sunków, coraz mniej charakterystycznych,—od masy ludowej i uprzywilejowanej w ogólności—do proletariatu robotniczego i kapitalistów, w szczególności.

W ten sposób, płaszczyzną podziału, nad którą mielibyśmy „proletaryjuszów wszystkich krajów” i kapitalistów wszystkich narodowości, rozgraniczałaby nam politarchiczną sferę ludzkości od pantarchicznej, czyli sferę społeczeństw narodowych od społeczności uniwersalnej.

Schemat ten daje bardzo niedokładne i warunkowe wyobrażenie o rzeczywistym układzie odnośnych stosunków: niedokładne,—gdyż zbyt są one złożone i zawiłe, aby je można było za pomocą jakiegokolwiek dyjagramu wszechstronnie przedstawić; warunkowe,—ponieważ są to stosunki w rzeczywistości funkcjonalne, gdy my tymczasem wyobraziłyśmy je strukturalnie. Zbliżylibyśmy się nieco więcej do tej rzeczywistości, gdybyśmy teraz, zachowując w pamięci uwydatnione w ten sposób stosunki, wyobrazili sobie, iż pojedyncze cząstki naszych figur zostały ułożone na płaszczyźnie według szczegółowych wykazów statystycznych każdego kraju. Lecz byłaby to rzecz zbyt ciężka. Jakkolwiek bowiem ta konstrukcja musi pod wielu względami chybiać, w ogólności wystarcza do obecnego celu i dostatecznie myśl naszą tłumaczy: wskazuje różnicę dwóch widnokręgów społecznych i uwydatnia względną doniosłość rozmaitych stosunków i antagonizmów klasowych, a zwłaszcza stosunku i antagonizmu klas „wierzchołkowych”.

Rozwijając w poprzednim artykule pojęcie społeczności uniwersalnej, nazwalibyśmy proletarijat jej ludem... Jeżeli to określenie wyda się komuś tylko rodzajem *façon de parler*, sprzeczać się o to nie będziemy. Uważamy jednak, iż trzeba tak lub inaczej odznaczyć te stosunki naszej epoki, które się w ramach dawnych pojęć i określać już nie mieszczą. Takiemi są właśnie stosunki tej klasy ludowej.

„Warunki starego społeczeństwa—mówi Marx i Engels—już nie istnieją obecnie w życiu proletariatu. Proletaryjusz wyczerpany jest z własności; jego stosunek do żony i dzieci prawie nie już nie ma wspólnego z życiem rodzinnym mieszczaństwa; praca przemysłowa, nowożytna jarzmo kapitału, to samo w Anglii, co we Francji, to samo w Ameryce, co w Niemczech, pozbawia go cech narodowych. Prawa, kodeks etyczny, nawet kult religijny tych społeczeństw, wszystko to

wychodzi dla niego jedynie na osłonę interesów kapitalisty”.

Typowy „idealny” proletaryjusz zaledwie może być już nazwany członkiem swego społeczeństwa narodowego. Nie mając własności, nie mając ani rodziny, ani ojczyzny, ani tradycji, ma on tylko siłę robotnią i ta jest prawie jedyną jego kwalifikacją społeczną.

Arystoteles nazywał „empsychon organon” (maszyną żyjącą) człowieka, o ile ten pracuje i wytwarza bogactwo.

Proletaryjusz tegocześnie jest wszystkim „empsychon organon”. Jego siła robotnia jest towarem. On sam jest towarem. Narodowe cechy jego nie-ledwie tyle już tylko znaczą, co stempel fabryczny na jakimś wyrobie angielskim lub niemieckim,—pośrednia wskazówka pewnych przymiotów jego. Ten „towar”, jak i reszta, z którą staje razem na rynku, jest kosmopolityczny, bez względu na to, iż kupują go zazwyczaj i spożywają „na miejscu”...

Nie mniej kosmopolityczne, jakkolwiek mniej może widoczne rysy charakteryzują kapitalistę. Ażeby je należycie zaakcentować, a nie chcąc się posilkować nazwami, ustalonymi w innym, często bardzo niewłaściwym użyciu, nazywamy ogół kapitalistów arystokracją międzynarodową.

Walka tych dwu żywiołów w łonie społeczeństw narodowych jest faktem olbrzymiej doniosłości ze względu na stosunek dziejowy klas pracujących do uprzywilejowanych. Zobaczmy, jak się ta doniosłość przedstawia z tych stanowisk, jakie zaznaczyliśmy przed chwilą.

Ze stanowiska społeczno - narodowego walka proletaryjusza z kapitalistą jest po-prostu zatarciem pomiędzy najemnikiem, a przedsiębiorcą kapitalistycznym. Jest to „kwestya robotnicza”—trudniejsza do rozwiązania, niebezpieczniejsza, lecz tylko jedna z wielu innych. Nieboszczyk Gambetta w jednej chwili wyrósł w oczach mieszczaństwa francuzkiego z warchoła na poważnego męża stanu, kiedy oświadczył, że „w Rzeczypospolitej nie ma kwestyi (ogólnej), są tylko kwestyje socyalne”... W tem krótkim powiedzeniu mieści się cała filozofja, cała mądrość społeczna mieszczaństwa. Nic prostszego w świecie! W gminie nie ma wielkiej sprawy oświaty narodowej, są tylko drobne sprawy szkolne. W parafii nie ma stosunku kościoła do państwa, są tylko stosunki plebana do parafjan i parafjanek....

nawet do wszystkich dyjabłów, byleby tylko zostawiła go choć na kilka minut z Kasią, która o kilkanaście kroków ztamtąd, pod rozłożystą lipą, siedzi z Julcią na ręku.

Zaraz po pierwszym widzeniu Kasi w salonie pani Aliny sędzia przyznał sobie, iż postąpił, jak ostatni głupiec, zrywając z dziewczyną w brutalny sposób.

Wprawdzie wtedy strasznie zbrzydła, a nie można było przecież przeczuć, iż nietylko odzyska dawną urodę, ale stanie się jeszcze piękniejszą. Zawsze jednak postąpił nieostrożnie. Że jednak był głupim, to nie dowodzi, by takim miał pozostać i nadal: powinien teraz zreć naprawić swoją omyłkę i zbliżyć się napowrót do Kasi. Uda mu się to z pewnością, bo Kasia lubiła go przecież bardzo. Dopóki jednak była ona u pani Aliny, marzyć nawet o tem nie było można. Przedewszystkiem więc trzeba wynaleźć sposób usunięcia jej ztamtąd.

Sędzia przez kilka dni łamał głowę nad tem zadaniem. Zbierał wiadomości o Kasi i w końcu, dowiedziawszy się, że jest ona bardzo kochającą matką, i że kowalka wcale nie dba o Stefkę (za co jej był szczerze wdzięczny, bo mu ułatwiała rzecz całą), postanowił uwiadomić Kasię o smutnym losie jej córki, a potem zaofiarować jej przez dobre serce pomoc pieniężną, by mogła wraz z dzieckiem zamieszkać w mieście.

Naturalnie, postanowił naprzód uwiadomić

ją o pierwszym tylko, zostawiając ofiarę pieniężną na inny raz, bo płochliwa dziewczyna mogłaby przeczuć zdradę i wszystko byłoby stracone.

Już od paru tygodni odwiedzał bardzo często „Ustronie”, wyszukując sposobności rozmówienia się z Kasią; nie udawało mu się to jednak. Tym razem niebo okazało się dla niego przychylniejszem.

Miecio tak się okropnie rozplakał, że aż przerażona bona przysłała prosić o pomoc matki.

Acz niechętnie, porzuciła p. Alina miłego towarzysza i skierowała swe kroki ku domowi—nie mogła przecie okazać się mało troskliwą matką.

Sędziemu spadł kamień z serca. Nareszcie! Odetchnął głęboko, i nie tracąc czasu, podszedł do Kasi.

— Dobry wieczór, Kasiu!—rzekł, zniżając głos.

Dziewczyna oblala się krwistym rumieńcem; ani jedno słowo nie wyszło z jej zaciśniętych ust.

— Dla czego mi nic nie odpowiesz, Kasiu? i dla czego nigdy się na mnie nie chcesz spojrzeć, czy może się mnie boisz?

Z pod ocienionych długimi rzęsami powiek padło na niego spojrzenie tak pełne pogardy, że aż się na chwilę zmieszał; na chwilę tylko jednak, bo zaraz ciągnął dalej:

— Brrr! jak się brzydko na mnie patrzysz!

Czy ty się jeszcze na mnie gniewasz, Kasiu?

— Nie, brzmiała lakoniczna odpowiedź.

— To dla czego nie chcesz ze mną porozmawiać po ludzku?

— Bo ja z panem nie mam o czem rozmawiać.

— Nie masz o czem! a nasze dziecko, Kasiu?

— To „moje” dziecko! odparła chłodno dziewczyna.

— A! jesteś zazdrosną o swoje prawa do Stefki! Pozbawiać cię ich nie myślę. Może-m naprawdę nie wart nazywać się jej ojcem, ale i ty, Kasiu, jesteś złą matką. Optywasz sama we wszystkie wygodę: miękko śpisz, smacznie jadasz, a córkę swoją oddałaś na poniewierkę—na śmierć głodową.

Przerażenie odbiło się w jej oczach; po chwili jednak uśmiechnęła się lekceważąco:

— Nieprawda, Stefce dobrze! pan mnie chce dokuczyć.

— Mówisz, że jej dobrze! a ja ci powiadam, że dziś ją widział: wygląda tak, jakby miała za tydzień umrzeć, a ty tymczasem karmisz obce dziecko.

— Nieprawda! zawołała już z uniesieniem i wstawszy, odeszła z dzieckiem ku domowi.

Nieprawda! nieprawda! powtarzała sobie ciągle, a jednak straszny niepokój ścisnął jej serce. A nuż to prawda! Ona się tu męczy, żeby jej dzieciątku było dobrze, a ono tam cierpi głód, biedactwo! Po co sędzia kła-

Ze stanowiska społeczno-universalnego jest to jedna kwestyjna socyjalna, wszystkie inne w sobie mieszcząca, — zagadnienie, od rozwiązania którego zależy więcej, niż stosunek najemnika do kapitalisty, więcej, niż był danego społeczeństwa—bo taki lub inny kierunek rozwoju całej ludzkości. W ekonomicznym węzle tej kwestyi wszystkie nici życia cywilizowanego się łączą. „Kwestyje robotnicze” pojedynczych społeczeństw są tylko jej przypadkami szczególnymi, narodowymi....

Oba te zapatrywania mają swój wyraz w tegoczesnych doktrynach i programach demokratycznych. Nie wskazują one wprawdzie tym programom szczególnych celów i zagadnień praktycznych, tej bowiem treści dostarcza im realne życie społeczeństwa, lecz podsuwają kierunki ścigania tych celów i ogólne metody rozwiązywania tych zagadnień, określają także rozmaite pojmowanie roli dziejowej ludu.

Mówiąc to, mamy na myśli te tylko kierunki demokratyczne, które się mniej lub więcej liczą z warunkami swojego czasu i miejsca,—nie skamieniałości więc idejowe ubiegłych prądów życia i nie przewidywania programowe, „na wskazaniach nauki społecznej osnute”. Pierwsze z tych mogą dla nas zaledwie archeologiczny interes przedstawiać; drugie—za pozwoleniem p. K. R. Żywickiego—właściwie nie przedstawiają żadnego. Aby nas nie pomówiono o lekceważenie nauki, nie zawadzi, być może, krótko się z tego wytłomaczyć.

O doniosłości wskazań naukowych w praktycznym życiu społeczeństwa nikt z pewnością mniej od nas nie wątpi. Na nieszczęście, rzetelna nauka społeczna w swoim obecnym czasie w żadne się przewidywania polityczne puszczać nie może. Zresztą, nawet w najlepszym razie, da ona prawdopodobnie społeczeństwu to tylko, co bijologia daje jednostkom, mianowicie, — podstawę teoretyczną *hygieny* życia. Będzie to, bez kwestyi, dużo, nawet bardzo dużo, — znacznie mniej jednak, niż się to zdaje doktrynerom.

Nauka społeczna mówi tylko o prawach, rządzących przebiegiem zjawisk społecznych, lecz nigdy treści tych zjawisk nie wyznacza, ta bowiem stanowi daną bezpośrednią. W podobny też sposób psychologia mówi tylko o prawach kojarzenia się wyobrażeń, lecz, jakiej treści dostarczą tym wyobrażeniom postrzeżenia zmysłowe, nie powiada. To jedno.

Następnie, co się już tyczy istoty owych zjawisk, a względnie zagadnień społecznych, to pozwolimy sobie zrobić następującą uwagę. Jeżeli nawet w mechanice teoretycznej zagadnienia, stonkowo tak proste, jak problemat trzech ciał, poruszających się około wspólnego środka ciężkości pod działaniem przyciągania wzajemnego, nie posiadają rozwiązania ogólnego, lecz tylko przez stopniowe przybliżenia dają się rozwiązywać,—to cóż dopiero w socjologii te zagadnienia, w których już nie jakieś trzy ciała martwe lecz miliony istot, myślących i czujących, krążą po swoich orbitach życiowych i to pod działaniem już nie ciężenia fizycznego, lecz sił tak zmiennych i nieokreślonych, jak widoki osobistego interesu, jak popędy uczucia, jak wpływ dziedziczności indywidualnej, rasy, dziejów, wychowania, otoczenia,—wpływy, z których każdy stanowi sam przez się niezmiernie zawily i trudny problemat naukowy!

Cóż wobec tego powiedzieć o wytykaniu „drog rozwoju dziejowego” na całe dziesiątki, ba, nawet na setki lat z góry, jeśli nie to jedno, iż ci, co się niem zajmują, albo nie mają pojęcia o środkach „wiedzy swojego wieku”, albo też po prostu są szarlatanami?

Jest to może okoliczność nie bez znaczenia, że, gdy dogorywający feudalizm miał Cagliostro, którzy przepowiadali losy jednostkom,—my na schyłku dziewiętnastego stulecia posiadamy szarlatanów, którzy przepowiadają losy społeczeństwu....

Co się tyczy wspomnianych wyżej kierunków, to, chociaż z wielu względów zasługiwałyby one na rozbiór szczegółowy, musimy poprzestać tutaj na uwagach, jakie o nich tu i owdzie wypowiemy okolicznościowo. Obecnie jeden z nich tylko zcharakteryzujemy.

Jest to rodzaj neo-toryzmu burżuazyjnego. Z pozorów, zwłaszcza z języka jego publicystów, wzięby go można za krańcowość, wszelkie wyobrażenia ludzkie przechodzącą. W liczbie jego adeptów napróżno szukalibyśmy radykalistów lub socjalistów: są tam wyłącznie *radicalissimi* i *socialistissimi*... W rzeczywistości są to kapitalistyczni najczystszej krwi, tylko „platerowani” socjalizmem, jak mosiężne widelce Fraget’a srebrem. Zbyteczna dodawać, iż ten platerunek ich nosi czasami najwyższą próbę frazeologii społeczno-naukowej.

Charakteryzują go dwa punkty, dwa założenia zasadnicze.

Pierwszym jest twierdzenie, że postępy kapitalizmu leżą w interesach proletariatu. „Interesy proletarijuszka są poniekąd z interesami kapitalisty zgodne”—mówi jeden z publicystów tego kierunku. „Im gorzej, tym poniekąd lepiej”—mówi drugi. Gdyby postępy syfilisu jakkolwiek profit burżuazji obiecywały, nieochybnie mielibyśmy publicystów, którzyby nam „na zasadzie nauki” dowodzili, że szerzenie się tej choroby „poniekąd” także w interesach proletariatu leży, że „im gorzej, tym lepiej” i t. d.,—potomstwo bowiem, spłodzone przez gnijące matki, zabezpieczone będzie od zarazy...

Drugim punktem czyli drugim artykułem tej wiary „neo-burżuazyjnej” jest fatalizm procesów dziejowych, nakazujący pozostawianie rzeczy własnemu ich biegowi. Jest to (powiedzmy także) „poniekąd” *laissez faire*, przeniesione z pola szacherek handlowych do polityki. Jest to zarazem punkt, na którym kończy się kłamany radykalizm, a zaczyna cyniczne urąganie nędzy i uposledzeniu kulturalnemu ludu, oraz ohydne bruchomówstwo polityczne, podszywające się pod wielką teorię naukową.

Poczytujemy to za niepożyłą zasługę p. K. R. Żywickiego, że cały swój talent satyryczny poświęca doprowadzaniu do absurdów tego przystosowania się mądrości mieszczańskiej do warunków społecznych obecnej chwili. Nazwy „społecznikowstwo” i „spółkownictwo”, są przedziwne pomysły: żadne inne nie oddawałyby tak znakomicie jego, (t. j. przystosowania) charakteru wszeteczeńskiego. Szkoda tylko, że p. K. R. Żywicki czasami, jakkolwiek rzadko, nie dosyć wyraźnie zaznacza, iż pisze satyrę...

A. Więkowski.

Drugi zjazd historyków polskich.

Lwów 21 lipca.

Dnia 17 lipca zrana o 11-ej powitał uczestników zjazdu historyków, zgromadzonych już w wielkiej sali gmachu rady miejskiej, wiceprezydent miasta dr. Marchwicki, dziękując przybyłym, iż zechcieli obrać Lwów na miejsce swych naukowych obrad; po nim zabrał głos prof. Wojciechowski, w zastępstwie prof. Liskego, prezesa towarzystwa historycznego, oddawna ciężką złożonego chorobą, i, w imieniu tegóż towarzystwa

małby przed nią?... to chyba prawda. Musi pójść do Stefki; musi ją sama zobaczyć! Rzuci się do nóg pani i tak ją będzie prosić, że pozwoli jej pójść choć na jedną tylko minutkę do miasta. Żeby ten sędzia sobie poszedł! mogłaby zaraz panią poprosić; przy nim nie śmie, bo pani tak się wesoło bawi, jeszcze by się rozgniewała, że jej przeszkadza i dla tegoby nie puściła jej.

Czekała długo, aż do dziesiątej. Wiedziała, że dzisiaj już pani jej iść nie pozwoli, postanowiła jednak zaraz prosić o pozwolenie na jutro, bo czuła, że nie wytrzymałaby nocy całej w strasznej niepewności. Gdy więc tylko pani Alina weszła do sypialnego pokoju, Kasia z płaczem przypadła do jej kolan i... po raz pierwszy została ostro złajaną za komedję. Pani bardzo się rozgniewała, bo nieszczęśliwa dziewczyna, chcąc umotywić swój niepokój, powiedziała jej o rozmowie sędziego. Rozdrażniona do najwyższego stopnia tem, że sędzia śmiał w jej domu zaczepiać Kasię, pani Alina nazwała ją złą, niepoprawną, nanowo do złego kuszącą ludzi, kobietą i zakazała nawet myśleć o wycieczce do miasta—bo dziecko z pewnością było tu pretekstem tylko.

Kasia całą noc oka nie zmrugała. Ciągle jej się zdawało, że słyszy płacz zgłodniałej Stefki. Kilka razy zrywała się, chcąc iść bez pozwolenia pani, ale myśli, że może sędzia zdrwił z niej tylko, a ona, właśnie przez swo-

je nieposłuszeństwo straciwszy miejsce, pozabawi dziecko wygod, powstrzymywała ją od tego kroku. Postanowiła więc tylko uprosić którą z dziewcząt folwarcznych, by poszła do kowalki i zobaczyła Stefkę. Cały ranek jednak zejść na dół nie mogła: Julcia nie chciała spać, kaprysiła i trzeba ją było ciągle kołysać. Dopiero w czasie obiadu obiecała jej ruda Ulisia zając się tą sprawą, ale dopiero nad wieczorem.

I znowu przeżyła Kasia kilka ciężkich godzin. W końcu jednak Ulisia wróciła; znalazła wszystko tak, jak opowiedział sędzia, relacja jej tylko była więcej obrazową: według jej wyrażenia „Stefka była czarną, jak ziemia, a suchą, jak drzazga. Mleko pono zjada kowal, a dziecko karmią kaszą z postem”.

Żeby panią przekonać, poprowadziła Kasia z sobą Ulisję do niej i prosiła raz jeszcze o pozwolenie wyjścia: ona musi przecież Stefkę odebrać od kowalki i oddać do jakiej innej kobiety, gdzieby dziecku było dobrze!

— Moja kochana—odparła jej na to pani—kowalka jest porządną kobietą; lepiej dziecku twemu nigdzie nie będzie. Naturalnie, że nikt mu nie zastąpi matki; nikt o nie dbać bardzo nie będzie; takim dzieciom na świecie dobrze być nie może i nawet nie powinno; to właśnie kara za twój grzech. Tyś się nie posłuchała Pana Boga, więc patrzeć się będziesz, jak dziecko twoje będzie pokutowało za twą winę, ono nie może być szczęśliwe.

Stojąca z boku Ulisia gorliwie potakiwała pani.

— „Stefce będzie dobrze!”—odparła z jakąś ponurą stanowczością Kasia. Przestała płakać i prosić; uspokoiła się zupełnie; oczy jej tylko nabrały szczególnego wyrazu: szeroko rozwarte zdawały się w przestrzeń patrzeć. Ale pani na takie drobnostki uwagi nie zwracała; obawiała się ona troszeczkę buntu Kasi, to też teraz wdzięczną jej prawie była za ten spokój, i gdy przyszła godzina kolacyi, pozwoliła jej zejść do kuchni.

Lekki uśmiech przewinął się po ustach dziewczyny. Wyszła szybko z pokoju; nie poszła jednak do kuchni, lecz do ogrodu i tamtędy po nad jeziorem, szła wprost ku miasteczku. Uśmiechała się ciągle do siebie i szeptała:

— „Stefce będzie dobrze, ona nie będzie za mnie pokutować!”

W kilka minut była już przed domem kowalki. Niespodziewanym i niepożądanym była tam gościem, to też kowalka aż się przeżegnała, zobaczywszy ją.

— A ty tu co robisz, Kasiu? toć pani powiedziała, co ci nie będzie wolno przychodzić do Stefki!—zawołała z pewną niechęcią.

— I pani matka—odparła Kasia, idąc wprost do kolyseczki—to wie, że matce trudno wytrzymać zdala od dziecka. Niedługo posiedzę; pokarmię ją trochę i pójdę.

Wzięła dzieciątko, owinięte w wilgotne szmaty i podeszła z niem do kominaby mu się le-

witał, przybyłych reprezentantów dziejopisarstwa; w przemówieniu swem, z wielką prostotą i serdecznością wypowiedzianem, gdy zwracał się do przedstawicieli krajowych instytucji naukowych, wyraził szanowny profesor swój głęboki żal, że w takim charakterze nie może pozdrowić żadnego z pomiędzy gości warszawskich, witał więc niektórych imiennie.

Następnie zaproponował zgromadzeniu kandydatów do głównego prezydium, a mianowicie: na prezesa aktualnego hr. St. Tarnowskiego, na przesów honorowych: hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego i sędziwego prezesa poznańskiego towarzystwa przyjaciół nauk, hr. Augusta Cieszkowskiego, zaś na wiceprezesa: Tadeusza Korzona i prof. Maryjana Sokołowskiego; po przyjęciu wymienionych kandydatów, na wniosek prezesa, obrano prof. Balzera sekretarzem generalnym zjazdu.

Po odczytaniu nadesłanych depesz i listów, pomiędzy którymi nie brak było pochodzących od głośnych w świecie naukowym ludzi, że wymienię tu imiona prof. Roepell'a i Cara, Jaromira Czelakowskiego, prof. Léger'a z „Collège de France” i t. d., część wstępną, inaugurującą właściwe obrady zjazdu, zakończył prof. Bobrzyński wykładem: „O kierunku nowszych prac nad historią organizacyi społecznej w Polsce.” Rzecz swoją, poświęconą zestawieniu i porównaniu rozbiorem głównych prac, odnoszących się do tego przedmiotu, poczynając od „Chrobacy” prof. Wojciechowskiego, kończąc świeżą pracą prof. Piekosińskiego „O dynastycznym pochodzeniu szlachty polskiej”—zakończył prof. Bobrzyński nie zbyt fortuną obroną i usprawiedliwieniem jednostronności w poszukiwaniach i doktrynerstwa, przypisywanych niektórym badaczom krakowskim. Po dokonaniu wyżej opowiedzianych formalności, zjazd, podzielony na dwie sekcje, z których pierwsza obejmowała kwestyje ściśle historyczne: specjalne i ogólniejszego zakresu, druga—umiejętności pomocnicze do dziejoznawstwa, jak: archeologia, numizmatyka i sfragistyka, historia sztuki i t. d.—przystąpił do rozpatrzenia i przedyskutowania nadesłanych referatów, których wcześniejsze poznanie umożliwił komitet zjazdu przez wydanie osobnego „Pamiętnika”, mieszczącego referaty w liczbie dwudziestu dziewięciu.

Treść przedstawionych referatów jest niezmiernie urozmaicona i różnolita, czasem nawet

piej przyjrzeć. Wzdrygnęła się: co się zrobiło z jej tłuściutkim aniółkiem! Odeszła od komina, siadła na kołysce i dała słabo kwilącemu maleństwu piersi.

— A czy ci pani dała pozwolenstwo karmić Stefkę?

— Tylko trochę, żeby jej było dobrze—odparła gorączkowo Kasia—zaraz już pójde.

Spoglądała z miłością na chciwie połykające pokarm dzieciątko. „Będzie ci dobrze” szepnęła; potem szybko położyła prawą rękę na jego szyjce: zakrzusiło się, drgnęło kilka razy i w końcu pozostało nieruchome.

— Już!—westchnęła Kasia z głębi piersi. „Dobrze ci, córuchno, prawda? teraz już ci dobrze?” Przytuliła usta do sonej twarzyczki, podniosła się, położyła ostrożnie dziecko do kołyski i wyszła z chaty.

Teraz już nie szła, ale biegła z powrotem. Jasny księżyc oświetlał wyraźnie jej bladą twarz i nieprzytomne oczy.

Przybiegłszy nad brzeg jeziora, raz jeszcze obejrzała się na miasteczko, poczem skoczyła w wodę.

Jakiś czas szerokie, srebrne kręgi przebiegały po ciemnej tafli; chwila jeszcze, a znowu jezioro gładkie było i spokojne; tylko wierzby nadbrzeżne szemrały zcicha, jakby powtarzały ostatnie słowa Kasi:

„Dobrze ci teraz, dobrze!”

Jerzy Maczuga.

zanadto drobiazgową, co da się wytłómaczyć znaczeniem już różniczkowaniem umiejętności historyjograficznych, no, i zamilowaniem niektórych lwowskich i krakowskich poszukiwaczy, szczególnie na polu archeologii, numizmatyki, paleografii i t. d. do nazbyt skrzętego opracowywania tematów, będących częstokroć drugorzędnej wartości. Nie mniej przeto, o czem można z ogólnego episu przekonać się, nie mało było tematów, dotyczących ważnych w historyjografii naszej kwestyj, nie mało także potrącających zagadnienia szerszego zakresu, które, nietylko historyków z zawodu żywo zainteresować mogły. Kwestyje ściśle historyczne poruszone zostały w referatach: Dembińskiego (Kwestyja soboru narodowego w Polsce w wieku XVI), prof. M. Sokołowskiego (O znaczeniu i potrzebie badań nad historią handlu w Polsce), Al. Jabłonowskiego (Włoszczyzna, Mołdawia i Multany) prof. Lewickiego (Jakie prace do dziejów XV wieku byłyby najbardziej pożądane) itd. Sprawę wydawnictwa pomników dziejowych, tak w krajowych, jak i zagranicznych znajdujących się archiwach, omawiały różnostronnie referaty: Kubali (O wydawnictwie źródeł historycznych XVII wieku) dr. Balzera (W sprawie wydania zbioru ustaw polskich średniowiecznych), Prochaski (O wydawnictwie pomników dziejopisarstwa litewsko-ruskiego), dr. Semkowicza (O potrzebie i sposobie wydania ważniejszych źródeł, znajdujących się w miejskim archiwum we Lwowie). Uchwały i postanowienia zjazdu, będące praktycznym wynikiem pomienionych referatów, przyczynią się nie mało, sądzimy, do większego uporządkowania krajowych zbiorów archiwalnych, do umiejętniejszego użytkowania obfitych, a niekniętych dotąd jeszcze materyjałów, słowem o postępach historyjografii naszej stanowić będą i z mniejszym trudem pozwolą badaczom naszym „krzesać iskry prawdy ożywczej, z twardych złomów skamieniałej w głazy, zamierzchłej przeszłości.”

Nie będę dalszem wyliczaniem poszczególnych referatów, którym wartości i znaczenia dla specjalnych działów dziejoznawstwa naszego odmawiać nie można—zaprzatać dłużej uwagi waszej, przechodząc więc co prędzej do programu trzeciego i ostatniego dnia obrad zjazdu, na który, śmiało rzecz można, najbardziej wróconą była uwaga wszystkich ze względu na doniosłość spraw, stanowiących przedmiot odłożonych na ten dzień referatów.

W istocie, ostatnie to posiedzenie, wspólne dla obydwóch sekcji, stało się punktem kulminacyjnym całego zjazdu. Żywy obudził interes wśród zgromadzonych referat prof. Liskego: „W jaki sposób dałby się rozbudzić i rozwinąć ruch naukowy na prowincyi”, w którym zasłużony badacz wzywa lwowskie towarzystwo historyczne, by zajęło się zorganizowaniem kolekcji naukowych w miastach i miasteczkach prowincjonalnych, gdzie życie umysłowe tak powolnym uderza tętnem.

Celem takich stowarzyszeń naukowych byłoby w pierwszym rzędzie opisanie miasta, czy też okolicy, pod względem historycznym, ekonomicznym, przyrodniczym itd. Cała inteligencja prowincjonalna: lekarze, prawnicy, profesoro-wie gimnazyjalni, w końcu obywatele wiejscy, mogłaby współdziałać w pracy tego rodzaju, co znakomicie przyczyniłoby się do rozwinięcia życia naukowego na prowincyi, wyrываяc jej mieszkańców z apatyi i bezwładu umysłowego. Zjazd przychylił się jednomyślnie do wniosku prof. Liskego; my zaś nie wątpimy, że sprawy tak ważnej towarzystwo historyczne nie zaniedba i energicznie zajmie się wcieleniem w życie przyjętych na zjeździe dezyderatów. Nie mniej ważnej kwestyi dotyczył referat Ludwika Finkla: „Jakiego podręcznika historii polskiej konieczne nam potrzeba i jaką drogą dojsz do niego?”

Autor zwraca tu uwagę zgromadzonych na ten, nie dający się zaprzeczyć, fakt, że dotychczas nie posiadamy podręcznika dziejów narodowych, streszczającego wyniki najnowszych poszukiwań, a któryby odpowiadał naczelnym potrzebom wykształconego ogółu naszego, jaką jest niewątpliwie poznanie całokształtu historii polskiej. Istniejące podręczniki Szujskiego i Bobrzyńskiego potrzebie tej zadość uczynić nie są w stanie, nie stoją bowiem już na tym poziomie, na jakim, dzięki szybkiemu postępowi, dokonany w ostatnich kilku latach, stanęła historyjografja

nasza; dla tego także — dodajmy od siebie—że doktrynerskie ich zaharwienie i pośpiech w uogólnieniach, niezgodnych często z prawdą dziejową, nie pozwala na polecenie ich, z czystym sumieniem, naszej czytającej publiczności.

Referent sądzi, że ilość nagromadzonych i poznanych materyjałów, a także spora liczba istniejących opracowań monograficznych, dotyczących pojedynczych epok, lub ważniejszych wypadków dziejowych, pozwala już co raz bardziej wrastającemu liczebnie cechowi historyków, — pomyśleć o podjęciu tego rodzaju pracy jakiej ma prawo od nich własne społeczeństwo się domagać. Zjazd nie miał w zasadzie przeciwko wnioskowi dr. Finkla, uważał jednak za pożądaniejsze opracowanie poszczególnych epok, na wzór tego, co już dla dziejów Stefana Batorego dokonał prof. Zakrzewski.

O najywotniejsze jednak zagadnienie, z tego wszystkiego, co było treścią obrad zjazdu, potrącił referat T. Korzona: „Błędy historyjografii naszej w budowaniu dziejów Polski”. Referat sumiennego badacza przeszłości naszej, dotyczący ściśle teoryi, a mianowicie pojmowania historii i metody, jaka winna być stosowana w konstrukcyi dziejów, zmierzał do wykazania szkodliwości naciągania historii do potrzeb chwili bieżącej i fałszywego oświetlenia przeszłości ze stanowiska partyjno-politycznego, kończył się nadto trzema praktycznymi wnioskami, które pod uchwałą zjazdu poddawał. Przytaczam je tu dosłownem brzmieniem.

Drugi zjazd historyków polskich:

I. „Naganie stosowanie do badań i do wykładu dziejów frazesu Cycerona: Historia est magistra vitae, a w razie konieczności przytoczenia tych słów w jakimkolwiek związku myśli—zaleca dodawać przestrożę, że dla życia mistrzostwo historii nie różni się zgoła od mistrzostwa wszelkiej innej nauki czystej, a nie dorównywa użyteczności nauk stosowanych, gdyż zadaniem jej jest tłómaczyć nam świat dzieł ludzkich, uczyć nas pojmowania odwiecznych tak z najodleglejszej, jak z bliższej przeszłości, a mieszczących się w istocie naszej zasobów wiedzy i woli”.

II. Odrzuca subiektywizm utworzonej w ostatnim 20-leciu szkoły krakowskiej, w sądzie i wykładzie zjawisk dziejowych wybujały tak dalece, że zamiast określenia cech wieku, faktu, lub działacza historycznego, członkowie jej wysuwają żarliwość swoją dla wyznania katolickiego, uległość swoją kościołowi rzymskiemu, lojalność swoją względem dynastyi, obronę pewnej formy rządu, zalecanie pewnych sojuszy, sympatye lub antypatye dla pewnych kierunków naukowych lub filozoficznych—jednym słowem, sprawy swoje osobiste, zatracając samą treść nauki, która zarówno potrzebną i pozyteczną jest kuryi rzymskiej, dynastom i narodom.

Trzeci wniosek wyrażał życzenie, aby Towarzystwo historyczne utworzyło sekcje: 1) historii powszechnej i 2) teoryi i filozofii historii,—a to ze względu na zaniedbanie przez historyków polskich, tych tyle ważnych dla badacza przeszłości rzeczy.

Referat p. Korzona wywołał nadzwyczaj ożywioną dyskusję, znalazł licznych oponentów, zawczasu nawet do zbijania wywodów, w nim zawartych, przygotowanych, — czego się można było spodziewać, już to ze względu na sporność poruszonego tematu, już to z powodu natury wynikających zeń wniosków, postawionych śmiało i stanowczo.—Dysputę rozpoczął korreferent prof. Oswald Balzer i w długiej przemowie, wypowiedzianej z wielkim spokojem, bez śladu roznamiętnienia starał się udowodnić bezpodstawność zarzutów, robionych przez T. Korzona większości historyków polskich współczesnych, oraz wykazać niestosowność przedstawionych zjazdowi do uchwały wniosków.

Dowodził więc, że żadna „szkoła krakowska” w historyjografii polskiej nie istniała i nie istnieje, ponieważ, wogóle pojęcie szkoły wymaga jednolitego kierunku, oraz mistrzów i uczniów ich,—tymczasem gdy pomiędzy historykami, zaliczanymi do t. zw. szkoły krakowskiej,—istnieje wielka sprzeczność w poglądach, a historycy krakowscy nie mają jakichś wyłącznych swych kierowników intelektualnych, bo nawet z takiej miary dziejopisami, jak Szujski i Kalinka, w wielu wypadkach się nie zgadzają. Co zaś do

przypisywanego szkole krakowskiej, wygórowanego subiektywizmu, to ten—zdaniami dr. Belzera—jest wynikiem ułomności natury ludzkiej i nie dałby się od niej oddzielić; błędy zatem owych, nadmiernie subiektywnych, historyków są popelniane z konieczności, niejako bezwiednie, a więc oni nie „kłamają”, jak to powiada referent. — Na pojęcie historii, jako nauki czystej, tłumaczącej nam świat dzieł ludzkich, używającej tych metod, jakimi się inne nauki posilkują w dążeniu do wykrycia prawdy, nie zgadza się także prof. Balzer, historia bowiem, tak jak ją rozumie T. Korzon, stała by się martwą, bezduszną. W ten, mniej więcej, sposób zbijane były i inne przez prof. Balzera zarzuty referenta, kończąc zaś swe przemówienie, zaproponował on zgromadzeniu odrzucenie dwóch pierwszych wniosków. Wartość dowodową wywodów korreferenta pozostawiam do oceny samemu czytelnikowi, — dodam tu tylko, że sam referent dał im od siebie odprawę.

Z pomiędzy innych oponujących wyszczególnić należy ks. Skrochowskiego, ze względu na ucieczność jego dowodzenia. Ks. Skrochowski zapowiedział na wstępie, że rzecz rozpatrzy ze stanowiska filozoficznego, (!) przeprosił nawet, że wypadnie mu nieraz „rąbnąć” — jak się wyraził; okazało się jednak, że zamiast rąbać, wywijał kropidłem, a zamiast stanąć na stanowisku filozoficznym, stanął na gruncie dogmatyki kościelnej i specyficznego katolicyzmu, który oczywiście ma także swoją filozofiją, czemu nie przeczymy bynajmniej. Otóż dowiedzieliśmy się od ks. Skrochowskiego, że o obiektywności w badaniu dziejów niema co myśleć: Pan Bóg bowiem może być tylko obiektywnym, jako dzierżyciel prawdy absolutnej, stanowisko zaś katolickie, z jakiego należy oceniać przeszłość, dla braku skutecznych argumentów przeciwko objawieniu katolickiemu—zawsze pozostanie dobrem i usprawiedliwionem.—I takich anachronizmów wypada nam wysłuchiwać, w przededniu 20-go stulecia i to na zjazdach naukowych...

Po zamknięciu dyskusji nad referatem T. Korzona, zjazd na wniosek jednego zpośród uczestników zakordonowych uchwalił, że rozstrzygnięcie kwestyj, których dwa pierwsze wnioski dotyczyły, przechodzi kompetencyję zjazdu i że decydować o tem większością głosów niepodobna.

Na tem moglibyśmy zakończyć nasze niedokładne sprawozdanie, dodawszy uchwałę ostatniego plenarnego posiedzenia, dotyczącą przyszłego zjazdu, który ma się odbyć, według postanowienia, za 10 lat w Krakowie, — pozwolimy sobie jednak na kilka jeszcze końcowych uwag.

Zjazd wykazał niezaprzeczony postęp w naszej umiejętności historyograficznej, dokonany kilkunastoletnią owocną pracą, poruszył wiele ważnych pytań, badaniom przyszłym wyraźniej wytknął drogę i lepiej określił zakres poszukiwań; uchwały zapadłe i postanowienia, gdy urzeczywistnione zostaną, ułatwią dalsze postępowanie i na losy historyjografii polskiej niezawodnie wpływ wywrą, — być może nawet, jaki punkt zwrotny zaznaczą. W pracach swych okazał się różnorodniejszym od swego poprzednika, — bo gdy zjazd Długoszowy zajęty był głównie naradzaniem się nad sposobami zmniejszenia anarchii w materyjalach dziejowych i nad podjęciem koniecznych wydawnictw — drugi zjazd rozważał, oprócz tego, sprawę metody w badaniach przeszłości i o syntezę historii potracił; pod tym jednak względem widocznego postępu i większej dojrzałości nie okazał, nie uznał się bowiem kompetentnym w sądzeniu i decydowaniu o tem, co lepszym jest dla poszukującego prawdy dziejowej badacza: czy tendencyjny sąd o ludziach i zdarzeniach, wypaczony osobnymi widokami, czy surowa przedmiotowość w ich ocenie, niezmacona żadnym znikomem usposobieniem, narzucająca się siłą przemawiającej konieczności logicznej? Do sklepienia więc dziejów naszych w jedną, dobrze złożoną, całość, — do ich ostatecznego zsyntetyzowania, — jakże nam jeszcze daleko! Czekajmy więc cierpliwie na tego, który — jak nieśmiertelny nasz wieszcz powiada — „wydawany jest z łona wieku zasługą przeszłości, ale rzadszym jest od komety”.

Władysław Jab.

BEZ OBLUDY.

Słowo z zakresu filozofii. — Dwojakie znaczenie idealizmu i pozytywizmu. — Wiecznie pokutujące pytania.

Na pograniczu pomiędzy filozofiją a życiem roznuwa się — jaśniejszy od ziemi a od słońca ciemniejszy krąg myśli mgławicznych: myślom tym nie udało się jeszcze i może nigdy nie uda się zogniskować tyle światła i siły, aby do współzawodnictwa stanąć z gwiazdami; za wiele jednak mają lotności w sobie, za dużo powinowactwa ze słońcem, aby na kulę ziemską opaść mogły w postaci mgieł szarych, w formie używającego deszczu, albo niszczących gradów. W dziedzinie tej tuła się mnóstwo zapytań, wiecznie pokutujących i nigdy nie mogących znaleźć odpowiedzi: jest to emanacyja duchów, rozbudzonych chwilowo, ale albo bezskrzydłych, albo nieuskrzydłonych jeszcze, emanacyja umysłów, którym na ziemi za ciasno, lecz które przestworów dalszych dosięgnąć nie mogą. Życie pytania owe rozstrzyga po swojemu; filozofija nie zniża się do nich, uważając je za niedorzeczne, albo za nierozwiązalne. Komuż z nas nie zdarzyło się słyszeć zagadki: „czy może istnieć przyjaźń pomiędzy kobietą a mężczyzną”, albo: „co jest lepsze, czy kochać bez wzajemności czy bez wzajemności być kochanym”. Niekiedy, jak pierścień od wirującego słońca myśli ludzkiej, odrywają się takie zagadnienia od wielkich systematów filozoficznych i unoszą się znowu w sferze, która ani ziemską, ani słoneczną nie jest — w sferze umysłów, którym na ziemi za ciasno. Tym samoukom albo niedoukom myślenia każdy nowy kierunek filozoficzny męci swobodę ducha.

Pozytywizm należał do takich właśnie systematów, od których, nad nami przynajmniej, odzywało się mnóstwo pierścieni mgławicznych. Podczas kiedy życie zużytkowało, w sposób sobie właściwy, twierdzenia pozytywistów — podnosząc do ideału „trzeźwość myśli”, i degradując na jakiś czas uczucie, podczas kiedy filozofija zdolała wady systematu poprawić i przywrócić należąca powagę spekulacji, to z drugiej strony w sferze umysłów, z tajemnicami szkoły nieobeznanych, a czujących wstręt do życiowych jej uzmysłowień, poczęły, jak zwykle, tułać się przez nikogo nie słuchane i nie rozstrzygane przez filozofiję pytania, niedorzeczne niekiedy formą, lecz w treści swej będące oddźwiękiem niepokoju tych, którzy, fałsz odczuwając, prawdy nie mogli jednak, nie umieli wykrzyć.

Jedno pytanie takie przysłała nam obocznie pewien prenumerator, który chce się dowiedzieć: czy „pozytywista może być idealistą”. W słowach tych streszcza się wiele owych wątpliwości, które w swoim czasie były męczarnią naszych nowozacieżnych adeptów szkoły, albo tych, co ją przy pomocy artylerji gospodarskiej t. j. kartofli, grochu i kasztanów ostrzeliwali. Któż z nas nie spotykał naiwnych objawów zdziwienia, wyrażających się w takim np. wykrzykniku. „Jako, pan pozytywista mówi o poświęceniu?” albo: „czyż taki pozytywista może rozprawiać o miłości idei”. Słowem, w okresie, kiedy samouctwo borykało się u nas z postulatami nowego systematu, raz poraz słyszeć można było zapytanie: „czy pozytywista może być idealistą?”.

Pytanie to dla filozofa jest niedorzecznością. Pozytywista — jako przedstawiciel pewnej szkoły filozoficznej, oraz idealista, również jako wyznawca filozoficznego kierunku — nie są wprawdzie dwoma przeciwieństwami, jak np. chłód i ciepło, ale wykluczają się wzajem jak naprzekład jednoczesne jeżdżenie na wlocypedzie i latanie po powietrzu. Pozytywizm, francuzki zwłaszcza, z zakresu badań wyrzucił nie tylko rzeczy niepoznawalne, ale nawet wielu niepoznanych praw obywatelstwa odmówił. Zalecając trzymanie się gruntu faktów wiadomych, stwierdzonych, gotów był nawet hipotezy naukowe z szeregu naszych narzędzi poznawania wyłączyć. Angielscy pozytywiści oschłość tę i ciasnotę francuskich swych towarzyszy z doktryny usunęli; ale i oni z „metafizyką” idealizmu nie chcieli mieć nic wspólnego i oni ducha, jako istności odrębnej, uznać nie chcieli. Idealisci wszystkie zjawiska świata zewnętrznego i wewnętrznego pojmują, jako manifestacyje ducha, który dla nich jest jedynym przedmiotem i

podmiotem pewnego i bezpośredniego poznawania. Filozoficznie więc biorąc, pozytywista nie może być jednocześnie idealistą. Ale w pokutujących zapytaniach szerokiej publiczności idzie o inną stronę tej sprawy.

Idealistą dla szerokiego ogółu nie jest ten, kto sądzi np., że drzewo nie ma żadnego bytu przedmiotowego, że jest tylko wytworem naszej jaźni, ale ten, kto uznaje np., że własnymi rękami i trudem powinien zasadzić drzewo, z którego owoców sam nigdy korzystać nie będzie. Idealistą dla publiczności jest człowiek, żywiący oświecenie ideałów, oddany idei, człowiek o dążnościach i aspiracyjach idealnych. Pozytywista — w oczach szerokiego ogółu jest ten, kto nie bawi się w „mrzonki”, kto z życia pragnie osiągnąć jak najwięcej korzyści „pozytywnej”, tj. namacalnej, konkretnej. Pomiedzy takimi typami również wspólnego nic być nie może: wykluczają się one wzajem. Ale, rozumiejąc dobrze to wszystko, ludzie nie przestają u nas zadawać sobie i innym pytania: czy „pozytywista może być idealistą”.

O cóż więc tu idzie?

Idzie im wszystkim o to, czy pozytywista w filozofii może być idealistą w życiu. Takie pytanie, jakkolwiek zdradza również nieznamość rzeczy, nie jest już jednak tak bezmyślnem, jak byłyby tamte. W ociąganiu się publiczności z odpowiedzią twierdzącą na nie, w tem upartem odmawianiu pozytywistom-myślicielom prawa do najszlachetniejszych przymiotów natury ludzkiej, prawa poświęcenia się dla idei i umiłowania pomysłności innych, widać jakby klątwę, rzuconą na koryfeuszów i wyznawców doktryny przez szare pospólstwo myślące, za przedczesne wygnanie ze świątyni życia tych fetyszów i bałwanów, bez widoku których nie umie ono jeszcze wspinać się na wyżyny myśli i uczuć. Nic tam nie znaczy fakt, że twórca doktryny pozytywistycznej w ukochaniu ludzkości doszedł aż do bałwochwalczego symbolizmu, za jaki potępiał czcicieli bóstw innych; nic nie znaczy, że reprezentanci pozytywizmu angielskiego Lewes, Mill i t. d., całe życie ideją i dla idei żyli, że dzisiejsi wyznawcy pozytywistycznego kościoła są ludźmi serc najszlachetniejszych, gotowymi do poświęceń i ofiar — nic to wszystko nie znaczy: człowiek, którego myśl dosyć wysoko wzniesie się nie potrafi, tak, aby cały ogrom i piękność światów ogarnęła, który w ideałach swoich nie umie jeszcze dojrzeć rodzonych dzieci własnej swej duszy, własnych swych mąk i radości, własnych nocy bezsennych i godzin zachwyty — człowiek taki potrafi kochać i cierpieć za innych, potrafi poświęcić się, zrobić ze siebie ofiarę, ale świadkiem poświęceń tych i tej miłości musi być koniecznie jakiś Moloch — z marmuru z brązu, z kości skoniowej, wreszcie z drzewa, ale koniecznie widomy, zrozumiały, namacalny. Człowiek taki uzna, że będąc pozytywistą, można lubić poziomki; tytułem ustępstwa zgodzi się jeszcze, że pozytywizm nie przeszkadza swemu wyznawcy zachwycać się pięknym krajobrazem, ale żeby pozytywista miał kochać piękno moralne — nie dostając za to w zamian ani drzewa na opał, ani wódki, ani bileto w wolnej jazdy — tego zrozumieć, pozwolić na to czciciel Molocha nie potrafi. Długo, długo potrzeba byłoby tłumaczyć takim ludziom, że przypisywanie początku naturalnego, ludzkiego naszym najpiękniejszym idejom i uczuciom, może nie tylko nie podkopać w nas czci i miłości dla nich, ale, przeciwnie, jeszcze gorętszem natchnąć nas pragnieniem, aby to, co, w sposób przyrodzony, dostępnem jest dla niektórych, stało się dziedzictwem każdego. Daleką potrzebą było w wyznawcami Molocha przedsięwziąć wędrówkę — po przez wszystkie niemal stopnie drabiny ustrojowej — aby wykazać im, jak łagodniejże dzikość pierwotna pod wpływem dzikości innych, jak potem w tej, ogrzanej już nieco, atmosferze obcujących ze sobą osobników kiełkować poczyna najpierwsze rozumienie i odczucie wzajemnych usług i korzyści, jak dalej obrazy istot bliższych, kojarząc się w umyśle zwierzęcia ze wspomnieniami doznanej ulgi lub pomocy, stają się dlań rzeczą już samą przez się niezbędną, jak pod dalszym wpływem owych skojarzeń wdzięczność i upodobania stają się zarodem uczuć, oraz instynktów silniejszych, jak wreszcie niezaspokojenie instynktów tych poczyna być męczarnią, nasycenie zaś ich nie

tylko radością chwili, ale i węgielnym kamieniem dalszego ich rozwoju i t. d.

Potem wszystkim czciciel Molocha powiedziałby z pewnością:

— „Tak, rozumiem, ale, czy pozytywista może być idealistą?”

Pytanie w jego ustach zupełnie zrozumiałe: czułby on niewątpliwie, że gdyby mu tylko jego brązowe lub marmurowe bóstwo zabrano, nie doznawałby on potrzeby poświęcenia, nie znajdowałby rozkoszy w ofierze.

W sferze myśli mgławicznych pytanie to nigdy zadawalniającej odpowiedzi nie znajdzie. Trzeba mieć tylko nadzieję, że dalszy rozwój życia pozwoli ludziom odczuwać potrzebę miłości tak silnie, a ideały swe czcić i rozumieć tak głęboko, iż najbardziej pozytywne wykazanie przyrodzonego ich początku będzie już tylko stwierdzeniem tego, czego sami sobie sformułować nie mogli, i nie odciągnie ich z pod sztandarów idei, której nie z woli Molochów, lecz z własnej pobudki służyć będą. Tymczasem jednak, doktryna pozytywistyczna musi ponosić karę za przedczesne wygnanie bożków ze świątyni życia.

Maryjan Bohusz.

GŁOSY.

— **Nasza samopomoc społeczna.** Jedną z instytucji, cieszących się pozorną sympatją ogółu, są u nas kolonije poprawcze w Studzieńcu. Dość wiele się mówi o potrzebie tej instytucji, dość często podnoszone są jej „uszlachetniające” i „umoralniające” wpływy na nieletnich przestępców. I mimo wielu wad i omyłek często zmieniających się dyrektorów i dozorców osady, trudno się nie zgodzić, że instytucja taka jest pożyteczną dla społeczeństwa. W przeciagu kilkunastoletniego istnienia towarzystwo dało nam przeszło 400 wykwalifikowanych i zdolnych do pracy ludzi, którzy bez jego opieki zapewniliby prawdopodobnie więzienia. Można by więc przypuścić, iż osada w Studzieńcu ma być zapewniony i że ogół swoją „sympatję” umie wyrazić w sposób właściwy.

Stale dochody towarzystwa dają zaledwie 1/3 sumy potrzebnej do pokrycia wydatków; resztę mają dostarczyć takie źródła jak odczyty, ofiary i składki członków honorowych. Przypatrzmy się cyfrom. Ofiary w r. 1874 wyniosły 7,211 rs., a w roku 1882—936 rs., składki członków w r. 1875 dały 11,394 rs. w r. zaś 1887—4,793 rs. I wogóle, jak świadczą rachunki towarzystwa, ofiarności „sympatyzującego” z instytucją ogółu, maleje z roku na rok. Już bilans z r. 1888 wykazuje 37 rs. deficytu; w roku następnym niedobór wynosi przeszło 800 rs. Fakt ostatni może zresztą świadczyć o niezaradności zarządu. Pozostaje jednak wymowa zmniejszającej się cyfry składek i ofiar.

Stwierdza ona bądź co bądź, iż instytucja, pozostawiona samopomocy ogółu, dąży do upadku. Dziś już na pokrycie niedoboru była ona zmuszona zaczerpnąć z funduszu stałego, a jeżeli dodamy do tego, że trapią ją niesnaski wewnętrzne, płynące z niewłaściwego doboru dyrektorów (od 1884 do 1888 zmieniono 4!) — to będziemy mieli obraz dość wymowny. Niedoleżna kontrola towarzystwa i coraz nędzniejsza opieka ogółu pracują nad zgubą instytucji pożytecznej i ...cieszącej się powszechną sympatją.

— **List godny uwagi.** W ostatnich N. pism codziennych spotykamy list rady towarzystwa kredytowego ziemskiego, p. Adolfa Świdy, który podajemy poniżej.

„Na tegorocznych wyborach do władz tow. kred. ziem. przewodniczący w przemówieniach swoich, a stowarzyszeni we wnioskach do tychże władz, zrobili zarzut rzeczonym władzom, że zbyt hojnie szafują funduszami towarzystwa a tem samem przyczyniają się pośrednio do niemożności przyznawania stowarzyszonemu grosza administracyjnego.

Uważając powyższe żądania stowarzyszonych za najzupełniej słuszne i na czasie, wobec mających się odbyć w d. 1 sierpnia r. b. ogólnych zebrań władz towarzystwa,

byłbym zdania, że każdy z powołanych przez ogół radców, z wysokości swego zadania, za koszty podróży i dyje-ty do Warszawy i miast gubernijalnych powinien tyle likwidować, ile faktycznie taka przejażdżka kosztuje.

„Nie wszyscy wiedzą, że ogólne zebrania radców, re- wizyje kas okręgowych i inne komisoryja kosztują stowa- rzyszonych dziesiątki tysięcy rubli, które przy prawdziwej likwidacji daleko by się zredukować do 1/4 części tego, co się wydaje naprawdę na koszty podróży, przekazując zby- teczne, jako oszczędność, na grosz administracyjny.

Podpisując często bezmyślnie podawaną nam likwidacy- ję kosztów, nie zastanawiamy się wcale, że bierzemy znaczne i ciężko zdobyte pieniądze tych, co nas wyróżnili, powołując na stanowisko radców, robimy z tego źródło zysku, ze szkodą ogółu...

Sądzę więc, że będzie nam daleko przyjemniej, stojąc wyżej nad wszelkie taryfy kolejowe i pocztowe, likwidowa- ć stowarzyszonemu faktyczne koszty podróży do War- szawy i miast gubernijalnych, a nie będziemy mieć smut- nych i chorobliwych widzeń radców, pędzących na posie- dzenia czwórkami i szóstkami koni pocztowych, a koleją 1 klasą, często tylko ze środka Warszawy lub miast gu- bernijalnych, kiedy nie jeden ze stowarzyszonych w waż- niejszych sprawach ledwie ma na 3 klasę, wlokąc się od stacyi kolei mizerną szkapą żydowską.

Zacznijmy od siebie, a może rzucona myśl będzie za- datkiem reformy przeprowadzenia wielu a wielu innych oszczędności, doniosłość których odczuje każdy ze stowa- rzyszonych.”

Ażeby należycie ocenić wystąpienie p. Świdy trzeba wiedzieć, iż rozrzutność towarzystwa wzglę- dem pp. radców jest istotnie bardzo znaczną w dy- rekcyi głównej. Pensyj prócz dyjet i kosztów po- dróży jakie towarzystwo wypłaca radcom pod- czas kadencyj wyborczych wynoszą w stosunku 2,400 rs. rocznie czyli wszelkie pozory nie odszkodowania strat koniecznych, lecz raczej hojną ręką rozdawanych upominków. Radcowie otrzymują 6 rs. dyjety dziennej i bilety 3 kl. dla lokaja. Wobec tego uderzenie się w piersi jednego z tych radców powinno zwrócić uwagę nie tyl- ko tych ostatnich, lecz wszystkich stowarzyszonych.

— Z prasy.

Zapadno-Słowińskiej Wiestnik, w ostatnim nume- rze bierze w obronę prusofilską politykę posłów polskich w Berlinie i tak pisze:

„Gazety poznańskie i w artykułach redakcyjnych i w inspirowanych przez posłów polskich korespondencyjach berlińskich wyjaśniają wcale nie dwuznacznie politykę parlamentarnego klubu polskiego... Artykuły i kores- pondencje, o których mowa, najenergiczniej protestują przeciw przypisywaniu głosowaniu frakcyi polskiej znacze- nia demonstracyi anty-ruskiej. Głosowanie—twierdzą— nie miało pretensyi wykraczania po za granice *wewnętrznych* stosunków politycznych, jedynym jego celem było wykazanie, że w pewnych warunkach polacy pruscy mogą być wiernymi poddanymi Prus, pozostawiając austrijackim być nimi również w granicach Austrii a ruskim—wgra- nicach Cesarstw rosyjskiego i przytem bez żadnych wrogo napastniczych zamiarów względem któregośkolwiek z państw z ludnością polską...

Wyjaśnień tych nie można nie uznać za rozsądne. Po- lacy nie mają i nie mogą mieć innej polityki, jak *wierno- poddańcza* względem każdego z trzech wymienionych mo- carstw, dotychczas, póki te podtrzymują stosunki przyja- cielskie z sobą, ponieważ jest to jedyny sposób ulepszenia istniejących warunków. Kiedy zaś nastąpi starcie mię- dzy temi państwami, wtedy narodo-plemienne i spo- łeczno-ekonomiczne interesy wskażą narodowości polskiej, po czyjej stronie ma stanąć.” (?)

— **Zgorszenie publiczne.** Jak wiadomo To- warzystwo tramwajów celuje w wynajdowaniu sposobów znęcania się nad personelem swych oficyalistów. Za jeden z tych pomysłów należy uważać osobę i postępowanie p. „dyrektora ru- chu”. Jeżdżący tramwajami widują od czasu do czasu jegomością, rozpartego z chińską god- nością na ławce i obchodzącego się w brutalny sposób z konduktorami, kontrolerami i t. d. Osoba wyrzuca ze siebie ostre dźwięki, nie od- powiada na ukłony służby i traktuje ją w spo- sób ubliżający.

Pomijamy na teraz całą niestosowność tego trybu postępowania urzędnika z podwładnymi i człowieka z ludźmi, bo sądzimy, że pan dyrektor w końcu przekona się o tem sam.

Pozwolimy jednak sobie zwrócić uwagę sza- nownego Towarzystwa, że narażenie pasażerów

na oglądanie tego rodzaju dzikich i niekultu- ralnych scen, jest wprost publicznem zgorsze- niem i nie powinno być nadal tolerowanem.

— **Instytucja na czasie.** W Petersburgu po- stawia Towarzystwo wzajemnego ubezpieczenia osób pracujących od straty miejsca. Zgodnie z projektem, każdy członek towarzystwa obowią- zany jest wnosić składkę miesięczną, nie mniej jak 1 rs. wynoszącą, za co, w razie utraty po- sady kantorzysty, nauczyciela, korektora i t. d., ma prawo do otrzymywania wsparć czasowych, w odpowiedniej do miesięcznych składek ilości. Towarzystwo posiadać będzie oddzielny kantor rekomendacyjny, oraz specjalnych agentów w fab- rycznych, rzemieślniczych i t. p. sferach.

Wiadomość tę podajemy w nadziei, że i u nas znajdą się ludzie inicjatywy, którzy ze- chcą powołać do życia instytucję podobną lub otworzyć filiję stowarzyszenia petersburskiego. Sądzimy, iż byłaby bardzo pożądaną wobec grasującego w społeczeństwie systemu oszczę- dności. Zagranicą zaś praktyka podobnych in- stytucyj stwierdza, iż są one nieskończenie poży- teczne w chwilach kryzysu zarobkowego, w procesach o zatrzymanie zasług i nawet w dostar- czaniu stowarzyszonemu posad.

Z OBCEGO ŚWIATA.

CV.

Konferencyja pokojowa w Londynie.—Ubezpieczenie ro- botników we Francyi i Belgii.

Na tle doniesień o powiększeniu armij, o no- wych uzbrojeniach, olbrzymich manewrach i no- wych wynalazkach w dziedzinie morderczych narzędzi, dziwnie odbija wiadomość o zbierają-cej się w Londynie międzynarodowej konferen- cyi pokojowej. Udział w niej przyjmuje 129 członków parlamentu angielskiego i 69 dele- gatów izb prawodawczych Niemiec, Austrii, Włoch, Francyi i Ameryki. Celem tej konfe- rencyi jest obmyślenie środków dla utrzyma- nia powszechnego i wiecznego pokoju.

Usiłowania w tym kierunku datują się nie od dzisiaj. Oddawna już peryjodycznie zbierają się „przyjaciele pokoju” i prawią o pięknych czasach, gdy znikną wojny i wszelkie spory międzynarodowe załatwiane będą przez sąd polubowny. Piękne rozprawy nie przeszkodziły krwawym wojnom, i nie wpływają na gorącz- kowe przygotowanie mocarstw do nowej, strasz- niejszej jeszcze walki. Pomimo to w izbach żą- dania nowych kredytów na cele wojskowe łą- czą się z hymnami na cześć pokoju, a wracają- cy z konferencyi pokojowej posłowie wotują żą- dane kredyty jeżeli nie jednogłośnie, to prze- ważającą przynajmniej większością. W takich okolicznościach konferencyje pokojowe wydają się bezcelną gadaniną i rozumiemy, dla czego Wiktor Hugo, np. po wojnie z r. 1870 wystą- pił z „Ligi pokoju”. W zasadzie naturalnie wszyscy przyznają pokój za rzecz pożądaną, wszyscy z niepokojem patrzą na wyczerpujący siły narodów militarizm, na olbrzymie zwiększenie ciężarów państwowych. Konferencyje więc pokojowe, o ile wychwalają dobrodziejstwa pokoju, nie mają najmniejszego sensu, dotąd zaś nie obmyślano żadnych środków praktycznych i powiedzmy otwarcie,—nie ma najmniejszej na- dziei, żeby obmyślano je na konferencyi obec- nej. Ostatni kongres tego rodzaju odbył się w r. z., w Paryżu. Uchwalono tam aż 39 rez- olucyj, z których dwie tylko stanowiące mają przedmiot obrad tegorocznych. Rezolucyje owe żądają: 1) polubownego sądowego załatwienia międzynarodowych sporów, które drogą bezpo- średnich układów załatwione być nie mogą, i 2) jednoczasowego i stopniowego rozbrojenia wszystkich mocarstw. Jeden z przybyłych na kongres tegoroczny, p. Dudley Field, z New- Yorku przyznaje jednak, że piękne te życzenia wówczas tylko rzeczywistnione być mogą, je- żeli panować będzie przekonanie, że traktat wiecznego pokoju raz zawarty nigdy pogwałco- nym nie będzie. Dotąd panuje zasada, że woj- na zrywa wszelkie traktaty, ztąd wynika wzaj- jemna nieufność rządów, jeden drugiemu nie

wierzy i każdy z nich szuka zysku w oszustwie i podejściu. Aby usunąć tę nieufność, powiada Field, należy wytworzyć pewność moralną, że traktat dotrzymany będzie. Do tego zaś dojść można albo za pomocą nacisku ze strony opinii publicznej, tak, że złamanie traktatu stanowiłoby infamiję, albo nałożeniem kary za złamanie. P. Field sądzi, że uciec się należy do pierwszego środka, a gdyby ten zawiódł—wówczas pozostanie drugi. Błogosławieni, którzy wierzą w skuteczność podobnych środków i podziwiać tylko należy, że wśród członków parlamentów, a więc osób, bliżej oznajmionych z biegiem spraw politycznych, znajduje się aż 200 takich idealistów—czystej wody, i że przewodnictwem nad nimi przyjął były minister, Herschell.

Pewne pismo zrobiło uwagę, że najkonsekwentniejszymi przyjaciółmi pokoju są socjaliści, głosują bowiem stale przeciw wojnom, armijom stałym i t. p. Istotnie, tak jest, ale oni też tylko konsekwentnymi być mogą. Przedewszystkiem stanowią oni wszędzie li tylko opozycję, nie mogącą w bliższej przyszłości rościć pretensyj do objęcia władzy w swe ręce, z tego względu nie potrzebują odstępować od zasad, wchodzić w kompromisy z wymaganiami chwili. Powtóre, ich ideały przedstawiają bodaj że jedyne na razie wyjście z trudności, z których nie mogą się wypłatać przyjaciele pokoju.

Wzmiankowany wyżej p. Field, jako wzór do naśladowania, wskazuje Stany Zjednoczone, które przedstawiają grupę państw samodzielnych, a jednak rozstrzygających wszystkie spory drogą polubową. Przykład ten wydaje się nam bardzo właściwym, rozpatrzmy go jednak bliżej, a przekonamy się, że pokój między stanami możliwym jest dla tego tylko, że wchodzi one jako części w skład wyższej organizacji, która ma moralną i materyjalną możliwość regulowania i kontrolowania stosunków swych części. Stany Zjednoczone nie przedstawiają sztucznego zlepku: materyjalne i moralne interesy wytworzyły z nich organiczną całość i na miejsce patryjotyzmu masachusettskiego, newyorskigo i t. p. postawiły patryjotyzm ogólnostanowy. Jeżeli dożyjemy kiedy chwili, że ludzkość cała, czy chociażby ucywilizowana jej część tylko, wytworzy jedną organizację wówczas ujrzymy urzeczywistnienie marzeń o wiecznym pokoju. Nic więc dziwnego, że socjaliści są najkonsekwentniejszymi przyjaciółmi pokoju, jakkolwiek i tutaj nawet należałoby poczynić pewne zastrzeżenia...

Korzyści moralne i materyjalne związania całej ludzkości w jedną, solidarną całość nie ulegają najmniejszej wątpliwości, czy bliżsi jednak jesteśmy tej chwili obecnie, niż przed 20 chociażby laty, czy też, przeciwnie, dwudziestolecie ubiegłe nie wytworzyło nowych powodów do wzajemnej nienawiści. Od czasu do czasu zarówno z francuskiej, jak i z niemieckiej strony dają się słyszeć głosy, wykazujące ogromne korzyści zaniechania przez dwa „przodujące” narody walki wzajemnej i połączenia sił dla celów cywilizacyjnych. Pomimo to jednak nierozstrzygnięty spór dwóch tych narodów stanowi największą groźbę dla pokoju powszechnego. Jak trudnem, jeżeli nie niemożliwym jest rozwiązanie kwestyi alzacko-lotaryńskiej, przekonanie się możemy ze słów socjalistów, którzy żywią sympatję ku Francji i protestowali przeciw aneksji. Niedawno Liebknecht wyraził przekonanie, że dla usunięcia powodów do nienawiści należałoby Alzację i Lotaryngję połączyć z Szwajcaryją, tworząc w ten sposób neutralny pas, oddzielający Francję od Niemiec. Jak widzimy, socjaliści nawet nie mogą się zdecydować na zwrot prowincyj, które zostały Francji zabrane, i które dotąd ciążą ku dawnej swej ojczyźnie. Wskazane przez Liebknechta wyjście prawdopodobnie nie rozstrzygnęłoby kwestyi i Francja cieszyłaby się z takiego rozwiązania tylko dla tego, że odebranie Alzacy z rąk szwajcarskich uważałaby za rzecz łatwiejszą.

Z tego jednego przykładu widzimy, jak trudnem byłoby rozwiązanie polubowe istniejących obecnie sporów międzynarodowych, a dla zapewnienia wiecznego pokoju potrzebowałyby przecież rozwiązania całej masy kwestyj, nie mniej trudnych, potrzebowałyby przebudowania wszystkich niemal państw europejskich. Istniejące związki wcale nie zawsze odpowiadają warunkom obec-

nyrn i wewnętrzna budowa państw stoi w wielu miejscach w sprzeczności z dążeniami ludów. Wychwalana z taką słusnością, organizacja amerykańska nie przeszkodziła olbrzymiej wojnie stanów południowych z północnymi. Szwajcaryja, jakkolwiek trzy narodowości ją zamieszkujące, wydają się obecnie związanymi tak silnie, bywała jednak widownią walk domowych. W Belgii coraz silniej objawia się antagonizm ludności francuskiej i niemieckiej. W Austrii walka narodów grozi całości państwa. Jak trudnem bywa nieraz załagodzenie tych waśni wewnętrznych, okazują losy ugody czesko-niemieckiej. Gdy tekst ugody został złagodzony, wiele, zupełnie bezstronnych osób utrzymywało, że jest ona sprawiedliwą, że może istotnie zaspokoić słusne żądania obu narodów i w ten sposób przygotować grunt dla ich wspólnego, pokojowego pożycia. Okazało się przeciwnie. Ugoda sankcyjnowała stan obecny i kładła tamę dalszym postępom żywiołu czeskiego, zład powszechne niezadowolenie Czechów, triumfy młodoczechów i upadek moralny stronnictwa staroczeskiego. Sędziwy patryjota, do niedawna uznany powszechnie przywódcą, dr. Rieger wysłuchiwać musi złorzeczenia swego narodu i sam już wątpić się zdaje i wahać i nosi się nawet z myślą usunięcia się do życia prywatnego. Niemcy są w ogóle z ugody zadowoleni, że nie myślą oni jednak o użytkowaniu jej w celach pokojowych, świadczyhałas, wywołany wyborem dr. Heinricha do rady szkolnej. Niemiec, żywiący sympatje do Czechów i przez całe życie wzywający do zgody—jest dla swych współziomków obecnie jak i poprzednio renegatem, zdrajcą.

Jeżeli jednak nie możemy mieć nadziei, żeby spory i waśnie zarówno na zewnątrz jak i na wewnątrz państw obecnych rozstrzygać się mogły w bliższej przyszłości na drodze polubowej, to z drugiej strony oczekiwać należy, że wojny będą rzadsze, niż dotąd i że spory pomniejsze istotnie bez uciekania się do oręża mogą być załatwiane. Wojna, wobec dzisiejszych warunków technicznych, jest rzeczą tak straszną, wymaga tak olbrzymich ofiar w pieniądzu i ludziach, grozi tak okropnem zniszczeniem, a nawet zupełnie unicestwieniem w razie przegranej, że wywołać ją mogą tylko nader ważne przyczyny. Wobec tego spory podrzędne załatwione być muszą na innej drodze, żadna ze stron nie odważy się bowiem na okropności wojny z powodu jakichś sporów o rybołówstwo w Newfoundlandzie, i t. p. Nie znaczy to jednak, niestety, żeby te spory przynajmniej zawsze z pewną przynajmniej sprawiedliwością rozstrzygane były. Silniejszy, zuchwalszy przeciwnik ma wszelkie szanse, że jego interesy wezmą górę nad interesami słabszego, bardziej obawiającego się wojny. Stworzona przez Bismarka „liga pokoju” zapewnia jej uczestnikom na razie bezkarne pogwałcenie interesów państw innych. Wystąpić do walki z taką potęgą może tylko równie potężny związek, którego uformowanie przedstawia wielkie trudności, tymczasem więc liga pokoju korzysta ze swej przewagi, widząc, że w pewnych granicach może nie zwracać wcale uwagi na interesy państw innych.

Jeżeli jednak w najbliższej przyszłości nie widzimy elementów, zapewniających spokojny byt i przewidywać musimy krwawą walkę, to jednak rozwój państw cywilizowanych, odbywający się w jednym kierunku, wywołuje coraz częściej jednoczesne podejmowanie tych samych kwestyj prawodawczych. Niedawno zwracaliśmy uwagę na powszechnie odczuwaną i poniekąd przeprowadzoną reformę gimnazjalną, dziś zaznaczamy, że jednocześnie z Petersburga, Paryża i Brukselli dochodzą nas wieści o obowiązkowym ubezpieczeniu robotników od wypadków.

Ubezpieczenia tego rodzaju zastosowały po raz pierwszy Niemcy w r. 1884. Wszedłszy raz na tę drogę, rząd niemiecki posuwał się musiał dalej, stwierdzając jakby wypowiedziane przez Bebla zdanie: „Nie sądzicie panowie, że się na tem zatrzymacie, my socjal-demokraci zmusimy was do dalszych postępów po tej drodze”. Pierwsze prawo dotykało nieznacznie tylko część robotników i już w następnym 1885 roku wydane zostało prawo, rozszerzające zakres obowiązkowego ubezpieczenia. W r. 1886 ubezpieczenie od wypadków rozszerzone zostało na zakłady robotników, pracujących w zakładach rolni-

czo-leśnych, w następnym zaś na pracujących przy budowach, w marynarce. Za Niemcami poszła Austria. Prawo, ogłoszone w grudniu r. 1887, ustanowiło obowiązkowe ubezpieczenie robotników, których praca odbywa się w warunkach, umożliwiających nieszcześnie wypadki, a więc w fabrykach, hutach, kopalniach, warsztatach okrętowych, na kolejach i statkach, przy budowach, w zakładach przemysłowych i rolniczo-leśnych, w których używane są motory i t. d. i t. d. Według pierwszych, niezbyt dokładnych obliczeń, prawo stosuje się do 892,240 robotników.

Organizacja ubezpieczenia w Niemczech i Austrii znacznie się różni. W pierwszych spotykamy cały szereg instytucyj, jako to związki asekuracyjne przedsiębiorców, przedstawicielstwo robotników, sądy rozjemcze i wreszcie państwowy urząd asekuracyjny (*Reichsversicherungsamt*), kierujący całą złożoną maszyną. W Austrii cała sprawa powierzona jest instytucjom państwowym, tworzącym 7 wydziałów z siedziskiem w Wiedniu, Salzburgu, Grazu, Triescie, Pradze, Bernie i Lwowie.

Obecnie na tę samą drogę wstępuje Francja. Ubezpieczenie ma tu być zorganizowane w ten sposób, że co roku zbierane będą wiadomości o wszystkich wypadkach w zakładach przemysłowych, poczem określoną zostanie suma wynagrodzeń, przypadających poszkodowanym robotnikom. Suma ta podzieloną zostanie pomiędzy wszystkich przedsiębiorców według tabeli, określającej stopień niebezpieczeństwa każdego rodzaju przemysłu. W taki sposób przedsiębiorcy płacą za zaszłe już wypadki, co, zdaniem projektu, jest najmniej uciążliwym. Dla uniknięcia możliwych strat z powodu niewypłatności pracodawców—utworzony będzie kapitał zapasowy. Głównym organem będzie kasa ubezpieczeń od wypadków, założona w r. 1868. Ona to będzie wypłacała wynagrodzenie robotnikom, w końcu zaś każdego roku otrzymywać będzie składki przedsiębiorców. Wykaz przedsiębiorstw, podlegających prawu, jako też podział ich według stopnia niebezpieczeństwa opracować winien rząd. Spisy zaś wypadków prowadzić mają komisje miejscowe.

Projekt powyższy wzbudził wiele niechęci, których echo odbiło się nawet w naszych piśmiech „konserwatywnych.” Między innymi podniesiono zarzut, że przedsiębiorcy nie będą obecnie zainteresowani w zaprowadzaniu środków ochronnych i że proponowane obniżenie taryf o 20% dla wprowadzających te środki nie będzie dostateczną pobudką; zarzut ten ma pozór słusności, ale tylko pozór. Niestety, na palcach niemal zliczyć można te zakłady, w których właściciele okazują troskliwość o bezpieczeństwo robotników i jedyną nadzieję rozpowszechnienia środków ochronnych upatrywać możemy w przymusowym ich wprowadzeniu przez państwo. Wzmiankowany wyżej niemiecki państwowy urząd asekuracyjny ma w tym względzie szerokie pełnomocnictwa, z których korzysta przy współdziałaniu przedstawicielstwa robotników. Zarzuty, czynione ubezpieczeniu od wypadków, uczynić można każdemu ubezpieczeniu, zmniejszając ono bowiem odpowiedzialność jednostki, czy jednak względu tego nie przeważają ogromne korzyści, z ubezpieczenia płynące. W istocie rzeczy ubezpieczenie od wypadków jest bardziej interesem pracodawców, niż robotników. Jeżeli przepisy kodeksu napoleońskiego ściśle były zachowywane, robotnicy mogliby otrzymywać wynagrodzenie za kalectwo wprost od przedsiębiorców, ubezpieczenie dla robotników ma tę tylko dobrą stronę, że wynagrodzenie jest pewniejsze i nie podlegające sporowi. Dla przedsiębiorców natomiast jest ono wielkiem dobrodziejstwem. Wypadek nieraz może dotknąć znaczną ilość robotników i wówczas wynagrodzenie stanie się nietylko uciążliwym, ale nawet rujnującym. Zwłaszcza dotyczy to zakładów drobnych. W Austrii na ogólną ilość 71,570 zakładów, podlegających ubezpieczeniu, 48,542 miało mniej niż 3 robotników (ogólna ilość pracujących w tych zakładach wynosi 101,476). Dla takich zakładów każdy wypadek stać się może ruiną, gdy tymczasem opłacanie drobnej składki rocznej nie przechodzi wcale ich możliwości.

W Belgii projekt do prawa wywołał nader charakterystyczną scenę. Mówiliśmy już nieraz, że zarówno liberalne, jak i katolickie stron-

nictwo okazywały wstręt do wszelkiego wdawania się państwa w stosunki ekonomiczne. Wskutek tego robotnicy niechętni byli jednako-wo obu stronnictwom, w ostatnich jednak czasach popierali zwykle liberałów, gdyż ci zgodzili się zaliczyć do swego programu żądanie głosowania powszechnego. Związek z robotnikami zmusił ich do pewnego odstąpienia od przekonania i oni też wnieśli do izby projekt do prawa o obowiązkowym ubezpieczeniu robotników. Klerykali tymczasem nie tylko że sympatycznie powitali projekt, ale główny ich mówca, Woeste oświadczył, że żąda takich zmian projektu, jakich się domagali socjaliści. Mianowicie, według projektu liberałów $\frac{7}{10}$ składek opłacać byli winni przedsiębiorcy, $\frac{2}{10}$ robotnicy i $\frac{1}{10}$ państwo. Klerykali i socjaliści domagają się zupełnego uwolnienia robotników od opłat. Dalej według projektu, wynagrodzenie nie miało być wydane, jeżeli wypadek nastąpił wskutek własnej nieostrożności robotnika. Ograniczenie to, zdaniem klerykalów i socjalistów, powinno być zniesione.

Zmiany powyższe są bez wątpienia nader ważne dla robotników. Zapewne, powiedzieć można, że przedsiębiorcy starać się będą opłacane przez siebie składki odbić na obniżeniu płacy zarobnej i odwrotnie, zmiany jednak w płacy nie mogą się odbyć bez walki, której rezultat zawsze jest wątpliwy i zależny od okoliczności, na które strony walczące nie zawsze wpłynąć mogą. Warunek zaś, dotyczący „własnej nieostrożności”, spowodowałby mógł spór sądowy w każdym wypadku, w sporze zaś takim pozbawiony środków robotnik znajdowałby się zawsze w gorszym położeniu, niż zamożny przedsiębiorca i wskutek tego zapewne nieraz pozbawiony byłby najsluszniej przynależnego mu wynagrodzenia. Zresztą, własna nieostrożność jest to termin, który raz na zawsze wyrzucony być winien z przepisów prawnych, okrucieństwem jest bowiem wymagać od zmęczonych ciężką pracą robotników ciągłego zwracania uwagi na grożące niebezpieczeństwo i akrobatycznej zręczności w omijaniu go.

J. H. Siemieniecki.

LISTY Z NIEMIEC.

Berlin, d. 22. 7.

II.

Wiara w rozumny oportunizm Koła polskiego była rodzajem tłumiku dla tych akordów wrodzonego wstrętu, jaki nowy zwrot polityki poznańskiej zbudził w piersiach społeczeństwa naszego, dziś jednak upiór zasadniczego kompromisu, na razie mglisty i bezkształtny, przybiera ciałem wiadome, podnosi rękę i dzwoni. Kto myśli tej ojcem duchownym, kto odważa się ugiąć kolana, tego dzisiaj przesądzać nie będę, ale nietrudno odgadnąć, że tylko fanatyk mógł stworzyć tę nową odbitkę galicyjskiego pierwowzoru. Aktem wiary nowej było głosowanie za projektem rządowym, — stemplem jest adres... Próżno się łudzić, że Koło polskie chwilowy tylko zawarło kompromis, bo z wszystkich symptomatów, jak z pogardy dla prasy opozycyjnej, z głośnych przechwałek o chwili emancypacji posłów z pod wpływu społeczeństwa, z adresu do cesarza — wyłania się logiczne prawdopodobieństwo, że zaszła tu zmiana dwóch przeciwnych, ale stałych i bezwzględnych kierunków. Optymizm nie zna stanowczych sympatyj, bo cechą jego znamioną jest brak zasadniczych ideałów, frakcja zaś deputowanych polskich albo na Koran, albo na Ewangelię przysięga, między meczetem a kościołem wiarować nie umie. Koło nasze spoczywa jeszcze w powijakach politycznych, chociaż w Berlinie wzorem świecić mu ma Windhorst, a w Londynie Parnell. Katolickie centrum gotowe jest nawet z uwagą wysłuchać kazań ewangelickiego pastora, jeżeli pastor zapłaci, ale niczem się nie wiąże, niczego zasadniczo nie głosi i niczego za bezcen nie sprzedaje. Człowiek „bez dogmatu”, to zero; polityk „bez dogmatu” — to w pewnych warunkach mistrz szermierki.

Czy Koło polskie doniosłość tego kiedyś zro-

zumie — to, podług chwilowej konstelacji spodziewać się nie można, miejmy jednak nadzieję, że ta prasa, której wpływem dziś gardzą posłowie, stanie się wkrótce nauczycielem zdolnym i wychowawcą zbawiennym. Ale to samo pismo, które w pierwszej części artykułu „Nequid nimis” dzwicznym głosem śpiewało panegiryk na cześć galicyjskiej dyplomacji, dziś do odwrotu zatrąbiło i przypomina, że my praw naszych w nurtach Szprewy nie topimy, i bez względu na poklask rządowy nasze krzywdy w twarz panom od tronu pruskiego ciśniemy. Głosowanie za projektem wojskowym, zdaniem p. Dobrowolskiego, do niczego nas nie zobowiązuje i jeżeli głos nasz będzie głosem na puszczy, to proporzec frakcyi polskiej ustąpić może z szeregów rządowych.

Ciekawym obrazem wrażenia, jakie najnowsza polityka Koła polskiego wywarła, są głosy prasy niemieckiej. Podczas, gdy konserwatywne dzienniki z radością witają to „nawrócenie” nasze, i coś tam bąkają o dojrzałości politycznej, cała lewica wystąpiła w zwartym szeregu z cynicznym na ustach uśmiechem. Berliński *Tageblatt* twierdzi, że błędny ogień tumani żrenice nasze, bo to odstępstwo zaprowadzi nas — na tarpejską skałę. Inne znowu organy liberalnie porzucenie dawnego posterunku uważają tylko za presję chwilową, w kwestyi arcybiskupstwa poznańskiego i przypuszczają, że za garść głosów naszych wkrótce prezentować będziemy miłowy rachunek. *National-zeitung* zżyma się również, podzwaniając hasłem osławionego „Ausrotten”, głosi konieczność zniszczenia żywiołu polskiego, który wypiera wszystko, co niemieckie i, w razie rozprawy na wschodnich kresach gotów rzucić niemcom w oczy — „tę garść polskiej soli”.

O! i stare organy starą wygrywają piosenkę, a przecież pono p. Caprivi szepnął komuś na ucho, że nikt z autorów ustaw antypolskich nie wierzy w ucisk niemieckich mieszkańców Księstwa poznańskiego, a nawet p. minister Gossler krzyczy tylko z udanym strachem, że Hannibal i hufiec jego u bram niemieckich stanęły. Do skrajnego machiawelizmu przyznać się trudno, bo moralność dziewiętnastego wieku rozkazuje nagość rabunku stroić w szczy obrony własnej, a konieczność ustępstwa jakiegokolwiek — w papierowe szaty miłości chrześcijańskiej. To też nie złudzą nas zamaskowani rycerze pióra, którzy w ewentualnem obsadzeniu tronu arcybiskupiego przez polaka widzą akt idealnej sprawiedliwości i gotowi z werwą niemieckiego szowinizmu krzyknąć Europie: Ecce germani-samaritani! Arcybiskup polak w Poznaniu byłby jedynie owocem wyrafinowanej kombinacji politycznej, a staruszka *Kreuzzeitung*, wygłosivszy kazanie o potrzebie wycofania kościoła z rzędu czynników germanizacyjnych, z dziwną niekonsekwencyją tak dalej mówi: „Biskup niemiec, jak to się przekonałszy na zmarłym arcybiskupie dr. Dinderze, wiele czynić musi usiłowań, aby usunąć nieufność, jaką żywi ludność przeciwko jego narodowości. Nieraz więc znaleźć się może w przykrem położeniu, że *zniewolonym będzie odmówić rządowi tego, co polak, cieszący się ufnością mieszkańców, bez wahania mógłby uczynić*. Dla tego też, zdaniem naszym, o to tylko chodzi, żeby wybór padł na dobrą (!) osobę — pochodzenia jej niemieckiego nie możemy uważać za pożyteczne, ani nawet pod niejednym względem za rzecz pożądaną.”

Oto spadły piórka pawie i wrona wroną została. Nie dlatego, że arcybiskup polak stanie daleko od maszyneryi germanizacyjnej, jeno że ewentualnie będzie lepszym apostołem misyi rządowej — oto przyczyna pozornej tolerancji. Niechaj więc i Koło polskie nie łudzi się tą maskaradą, niechaj możliwego wyboru polaka na tron prymasowski nie uważa za owoc stańczykowskiej dyplomacji, bo za oddanie tej szczypty naszych sił sejmowych na usługi skrajnej prawicy przy obecnej potędze partyi rządowych niższego spodziewać się nie możemy. Zmiana taktyki politycznej wobec polaków może być jedynie owocem tego przekonania, że nie igra się bezkarnie z uczuciami ludności, wśród której kiedyś dramat wojenny rozgrywać się będzie. Zgniść i znieczulić żywioł słowiański na kresach — to trudne zadanie, trzeba go więc przywiązać, by w przyszłości oprzeć się na nim. Taka kombinacja może być sprężyną nowych obrotów polityki pruskiej; garść głosów przedstawicieli naszych,

ich „tak” lub „nie”, ich „opozycja” lub „lojalizm” żadnej tu, obecnie przynajmniej, nie odgrywa roli, bo Koło polskie to piórko i puch na szali sejmowej. Wierzę w prawdopodobieństwo takiej chwili, w której to lekkie piórko polskie stanie się decydującym ciężarem i dla tego chociażbym wykluczyć z dyplomacji naszej wiara w doniosłość bezwzględnej i stałej zasadniczości, ale dopóki moment ten się nie zbliży, uważam choćby chwilowe tylko lokajstwo u wrót ministerjalnych za bezpłodne i zgubne. Milsza mi bowiem dzisiaj, gdy potęga złączonych z centrum prawicy i karłowatość sił naszych usuwa możliwość dodatniej taktyki oportunistycznej i targów korzystnych — stanowcza opozycja, gdyż ona przynajmniej jest środkiem agitacyjnym i dźwignią moralną...

Mariusz.

Przegląd społeczny.

Łódź. (Kor. „Głosu”). Zastój w przemyśle trwa w dalszym ciągu, gotówki brak, gdyż wekale ciągle się prolongują, nikt zaś nie myśli o płaceniu. Jeżeli urodzaje dopiszą, w takim razie towary nasze pójdą dobrze, w przeciwnym zaś wypadku ilość plajt zwiększy się znacznie. Z powodu braku zajęcia wielu robotników udaje się na wieś, spodziewając się znaleźć zarobek przy żniwie. Obok tego uwijają się tu u nas agenci, namawiający robotników do emigracji do Brazylii, obiecując im tam złote góry. Chętni znajdują się. Mimo zastoju w interesach szalony rach budowlany trwa ciągle, ceny jednak mieszkań nie spadają. W r. z. w powiecie łódzkim, z wyłączeniem Łodzi, było czynnych 89 fabryk parowych i 4,386 zakładów ręcznych, zawierających razem 5,981 warsztatów. We wszystkich tych zakładach przemysłowych pracowało 10,132 robotników, w czem 234 poddanych zagranicznych. Wszystkim robotnikom wypłacono zarobków 1,353,953 rs. Zakłady te przerobiły materiału surowego, nabytego za granicą za 2,114,660 rs. i nabytego w kraju za 1,679,883 rs., wytwór zaś przedstawiał wartość 9,607,212 rs. Wartość posesyj fabrycznych, budynków i maszyn obliczono na 5,780,995 rs.

Pracownik.

Kunów. (Kor. „Głosu”). Osada Kunów należy do zapadłych i mało znanych kątów naszego kraju. Leży ona w żyznej okolicy, w dolinie rzeki Kamiennej, wzdłuż której ciągnie się pas fabryczno-górnicy, z wielu fabrykami i zakładami przemysłowymi. Do takich zaliczyć trzeba znajdujące się pod Kunowem zakłady żelazne w Nietulisku, Klimkiewiczowie, Starachowicach, Brodach, fabrykę porcelany w Ćmielowie, cukrownię w Częstocicach i t. d. Ludność okoliczna zatracca cachę ludności rolniczej, natomiast zewnętrznie i obyczajowo zbliża się do typu robotnika miejskiego. Na okół urodzajne ziemie należą do wielkich posiadaczy, Oprócz nielicznych wiosek chłopskich, rolę uprawiających, ludność okoliczna żyje z zarobków w fabrykach. Mieszczanie kunowscy uprawiają ziemię, której ogółem posiadają 1,682 morgi, lecz głównem ich zajęciem jest kamieniarstwo, któremu z dziada-pradziada się oddają. Kamieniołomy kunowskie znane były od wieków, podobno od osmiuset lat. Wszystkie większe gmachy publiczne w kraju do niedawna stawiane były z piaskowca kunowskiego. O ile wiem, z tego kamienia zbudowano klasztor na szczyście góry Św.-Krzyskiej, katedry w Radomiu i Opatowie, gmach rządu gubernialnego w Radomiu, w Warszawie zaś pałac Łazienkowski, Belweder, teatrzyk w Łazienkach, Zjazd, Cytadela, pałace: Krasińskich, Uruskich, Potockich, koszar Kadeckie (uniwersytet) i wiele innych. Od lat kilkadziesiąt, t. j. od czasu odkrycia pokładów kamiennych w Szydłowcu, kamieniarstwo kunowskie chyli się ku upadkowi. Od tego czasu ustało wyprawianie kamienia do Warszawy (Wisłą od Zawichosta), cały zaś przemysł kamieniarski w Kunowie zaspakaja tylko potrzeby okolicznych kościołów; omentarze są jakby stałą wystawą miejscowych wyrobów. Kościół (wzniesiony w 1625 r.) wewnątrz koloru piaskowca, otarże ma kamienne, takież posagi i rzeźby. Cmentarz przedstawia cały las pomników, obelisków, krzyżów, posągów, nieraz bardzo misternie i artystycznie odrobionych. Zadziwia ta okoliczność, że kamieniarze miejscami dochodzą do pewnej doskonałości w robotach jedynie drogą samouctwa. O tej doskonałości wykonania świadczy choćby ładny posąg Matki Boskiej na rynku, z datą r. 1862. Pokłady kamienia w Kunowie są, podług mniemania mieszczan, nie do wyczerpania. Dotychczas eksploatują warstwę górną, 7 łokci grubą, pod nią jednak znajduje się warstwa druga, rów-

niez dobrego gatunku. Jeden zakład kamieniarski (z 30 czeladzi) jest w stanie wylać w ciągu tygodnia 2,000 stóp sześciennych kamienia. Dzięki tej obfitości pokładów nie ma tu mowy o racjonalnym gospodarstwie. Niezliczone masy kamienia idą na marne; dotychczas mieszczanie nie używają pił: największe bryły obcinają do rozmiarów cienkich tafli. Rzecz godna zastanowienia, że pomimo tej wziętości, jaką miał w kraju kamień kunowski, mieszczanie tutejsi nie porobili na nim majątków. I dzisiaj każdy z nich zajmuje się kamieniarskim, wszyscy skarżą się na biedę. Z pomiędzy firm bardziej uzdolnionych, podejmujących się większych obstalunków, wyliczyć można mieszczan Kępińskiego, Wysockiego i Rokosznego. Przy nich znajduje zajęcie większa lub mniejsza ilość czeladników i robotników, stosownie do rozmiarów obstalunków. Pracownicy ci zarabiają od 75 kop. do dwóch, a nawet trzech rubli dziennie. Nie jest to jednak płaca wygórowana. Kamieniarz, trzeba zwrócić na to uwagę, umiera zwykle w trzydziestym roku lub wcześniej. Ruje zdrowie zabójczy pył piaskowca, zawierający podobno arsenik. Wielka też panuje tutaj śmiertelność. Jak obliczają, liczba wdów po kamieniarzach, zmarłych w młodym wieku, dochodzi obecnie w mieście do stu. Może dla tego stosunek mężczyźni do kobiet wśród miejscowej ludności wynosi 100 i 120, biorąc w rachubę dzieci. (Wszystkich mieszkańców w Kunowie liczą 1,200, prócz żydów, których jest zaledwie 384). Kamieniarstwo jest zajęciem szczególnie zabójczym dla robotników, pracujących od sztuki, którzy muszą przebywać w pyłe, przy ciągłym biciu drewnianym młotem, do 18 godzin dziennie. Teraz, kiedy zarobkowanie stało się trudniejszym, zwiększyło się wychodźstwo na roboty do Warszawy. Rocznie do 50 młodych mieszczan udaje się do Warszawy; jak tu mówią, wychodzą oni po święconem jajku (po Wielkanocy), powracają zaś do domów na gęsinę (na Św. Marcin, w jesieni). Zarobek warszawski nie wystarcza im na zimę. Przynoszą z sobą do domów, prócz chorób, odmienne nawyki. Ci pracują w Warszawie w zakładach zamkniętych, mniej mają odpoczynku, więc mrują — jeszcze wcześniej niż pracujący w Kunowie. — Niedawno zgłaszał się do Kunowa jakiś przemysłowiec z Łodzi, niemiec, w celu zbadania warunków eksploatacji miejscowego kamienia. Można przypuszczać, że są to kapitalistyczne rekonesanse, za którymi pociągną niebawem kapitaliści niemieccy, uzbrojeni w parowe piły i wiedzę techniczną. Smutny widok przedstawiają ci drobni przemysłowcy kunowscy, nieświadomi swych bogactw, nie przeczuwający grożącej im zagłady. Niewątpliwie kamieniołomy kunowskie doczekają się lepszej przyszłości, ile że nowo zbudowana kolej dąbrowska założyła tutaj stację. Jak zapewniają, przewaga szydłowieckiego kamienia jest czasową; jest rzeczą bowiem znaną, że kamień kunowski daleko trwalszy, przynajmniej nie rozkłada się pod działaniem powietrza i wody tak prędko, jak szydłowiecki. Z chwili bieżącej notuje fakt, że ksiądz Drucki-Lubecki, właściciel fabryki w Ćmielowie, o której była mowa w numerze 28 *Głosu* r. b. w artykule „Z kraju”, czyni przygotowania do wyświecenia konnych, odbył się mających niebawem w Ćmielowie. Jest to dowodem, że prowincja nie zasypia i że sport może się rozwijać również dobrze kosztem przemysłu.

W. G.

Z Płockiego. (Kor. „Głosu”). W Przasnyszu powstała myśl założenia przytulku dla starców (na 6 kobiet i 6 mężczyzn) i ambulatorjum szpitalnego dla niezamożnych chorych. Za poradę lekarską i lekarstwo, wydawane na miejscu, ma być pobierana opłata w ilości 20 kop. od osoby. Projekt ten spotkał silny opór ze strony niektórych lekarzy. Podobno jest też zamiar stworzenia takiego ambulatorjum w Płocku. — Z Ciechanowa do wsi Szczuki, gdzie się znajduje fabryka okru Krasiniec, będąca przeważnie w ręku hr. Ludwika Krasiniego, ma być, dzięki jego staraniom, przeprowadzona szosa. Nie mieliśmy nic do zarzucenia przeprowadzeniu tej szosy w obec braku dróg bitych w Płockiem, gdyby w Ciechanowskim nie było pilniejszej innej: z Ciechanowa do Pultuska, która ma dla ogółu więcej znaczenia, niż wyżej wymieniona, i jest już od strony obydwóch miast rozpoczęta. Szosa zaś z Ciechanowa do Krasinca ma przeważnie na celu ułatwienie komunikacji do majątków, będących w posiadaniu hr. Ludwika Krasiniego i ordynacji opinogórskiej, należących również do Krasinich. Widocznym jest, że szosa ta nosi charakter drogi, służącej do prywatnego użytku dwóch najzamożniejszych w kraju rodzin magnackich, które bez wielkiej dla siebie różnicy mogłyby ją same wybudować i nie powinny żądać ofiarności i poświęcenia ogółu dla osobistych korzyści. — Zatwierdzenie władzy uzyskał projekt przeprowadzenia szosy z Sierpca do Rypina. — Urodzaje w r. b. są mniej świetne i obfite, niż ogólnie zapowiadano i spodziewano się. Żyto ucierpiało od rdzy; na pszenicę prócz rdzy ujemnie wpłynęły zimna i ciągle deszcze wiosenne; w niektórych okolicach wielkie szkody wyrządziło wygniwanie słomy i jakoby mucha hes-

ka. Dobrze przedstawiają się buraki, które w wschodniej części Płockiego sadzą do Krasinca, Ciechanowa, Głinojecka i Łukowych, a w południowej — do Duninowa (Leonów) i Młodzieszy. Robotnika w r. b. łatwo i tanio można dostać. — Sprzedaż majątków za zaległe raty Tow. Kredytow. Ziemińskiego i długi prywatne nie ustaje. W ostatnich czasach ogłoszono licytacje w sądzie okręgowym płockim na miesiąc październik dóbr Gościćmin w pow. płockim, obdłużonych po 7,000 rs. i dóbr Białoskóry w pow. sierpskim po 4,000 rs. na włóce. Rozumie się, że cena sprzedażna nigdy nie pokryje takich znacznych długów. — W Płocku z końcem b. r. opuści prasę kalendarz p. t. „Rocznik Płocki”, którego wydaniem zajmuje się księgarnia W. Bajera, a redakcją Z. J. Naimski. M. C.

Z powiatu łaskiego gub. piotrkowska. (Kor. „Głosu”). Przed dwoma tygodniami zmarł w sąsiednim, sieradzkim powiecie jeden z najwybitniejszych obywateli ziemskich Królestwa, Edmund Stawiski. Zmarły, znany jako pisarz w zakresie historii rolnictwa, oraz stosunków wiejskich i wzorowy gospodarz, cieszył się wśród inteligencji zasłużoną sławą człowieka niezmiernie prawego a wśród włościan dóbr swoich Podlęzyc zostawił dobrą pamięć, żal prawdziwy a jednocześnie i obawę, czy liczna rzesza spadkobierców nieboszczyka zechce utrzymać taki sam stosunek do podwładnych, jaki panował za życia byłego właściciela. — Po kilku zaledwie dniach pogodnych a nawet upalnych znowu mamy nieustanne deszcze, fatalnie wpływające na wszędzie już rozpoczęte żniwa. Klęska nieurodzaju, która tak bardzo dotknęła nas w roku zeszłym, bodaj czy i w tym nie da się uczuć włościanom, w wielu bowiem miejscach, niemal powszechnie padła zaraza na kartofle, stanowiące główną podstawę pożywienia uboższej ludności. Zwłaszcza ci, co wcześniej sadzili, prawie że nie będą mieli co kopać, chociaż i późniejsze zasadzania nie wiele pomogły, tak że wogóle można się spodziewać mniej niż średniego urodzaju kartofli. Tegoroczne lato tak pełne jest atmosferycznych niespodzianek, że rezultatów zbioru przesądzać naprzód nie można. Większy meteorologowie głowy tracą, tak na każdym niemal kroku zawodzą ich wskazówki stanu pogody, uważane dotąd za niemyślne i bezwarunkowo prawdziwe. Kierunek wiatru, różne manewry zwierząt i ptactwa, kształt chmur, ilość wieczornej rosy i t. d. najczęściej w tym roku zawodzą. Najwprawniejsi przepowiadacze nie mogą dojść do ładu z figlami, jakie im nieustannie aura płata, co zaś najgorsze, iż figle owe przeważnie ku złemu się klonią. F.

Z p. hrubieszowskiego. (Kor. „Głosu”). Ci z czytelników *Głosu*, którzy zajmują się sprawami prowincji i skutkiem tego czytają pilnie „Przegląd społeczny” być może zauważyli, że niżej podpisany, jak również niektórzy z jego prowincjonalnych kolegów całe zamilkli od pewnego czasu i ani słówkiem nie dają znaku życia. Powodów tego nie można przypisywać „sezonowi ogórkowemu”, który to termin sam przez się niczego nie objaśnia, lecz należy je upatrywać w dwu smutnych okolicznościach: *primo*, że my, wieśniacy, nieposiadający ani teatru, ani towarzystwa wioślarskiego (naprzykład), nie mamy — rzecz prosta — ani wioślarzy, ani aktorów nerwowych, ani nadzwyczajnych wypadków, coby alarmowały od czasu do czasu „szerokie warstwy” naszego społeczeństwa, a *potiore* (przyczyna specjalna ostatnich tygodni) — przywieźdzeni jesteśmy do stanu takiej nudy, że wszelkie życie (czytaj — wizyty sąsiadów) zamiera, bo *nasze townrzystwo* reparaże obecnie swe szlacheckie organizmy u wód zagranicznych. Nie pomogły czyjeś tam obliczenia, ile to kraj szkody ponosi przez te zagraniczne kuracje, siła przyzwyczajenia przemogła, „śmietanka” nasza wyjechała do *badow*, a my — cośmy w domu pozostali — znośić musimy piekielne nudy! Żebyż choć cokolwiek przerywało monotoność! A tu, jak na złość, nic, jeżeli nie weźmiemy w rachubę łun, pokazujących się od czasu do czasu na widnokręgu. Tego jednak to już chyba za wiele: w stosunkowo krótkim przeciągu czasu spaliły się folwarczne zabudowania w Stepankowicach, 12 chat wraz ze stodołami w Szpikołosach, 6 domów w Werkkowicach, oraz dom i kilka stodoł na przedmieściu Hrubieszowa. A pogoda... ta nas dorzyna. To zanadto chłapie z nieba, to znowu zabardzo piecze. Dość, że uroczne marzenia na temat tegorocznych zbiorów zawiodły, bo plon będzie bardzo średni. Na dobitkę — jak słyse — tu i owdzie w powiecie grady poozyniły szkody znaczne... — Ponieważ u nas wszystko zaczyna się od żyda i na żydzie kończy, przeto i ja list dzisiejszy zakończę przytoczeniem drobnego faktu, charakteryzującego działalność naszych Moszków, Berków i Szmulów. Rzecz się tak miała. Do zarządzającego majątkiem, będącym własnością p. M., zgłasza się jakiś dziekan mu żydek z Warszawy z propozycją zakupienia pszenicy. Ale ugoda nie stanęła i warszawski kupiec z kwitkiem odjechał, a natomiast zjawił się inny żyd z Hrubieszowa, ofiarujący cenę nieco wyższą, z którym kontrakt został zawarty. Tymczasem ów pierwszy kupiec zjawia się, już w Warszawie, u bawiącego tam podówczas

samemu właściciela majątku i pszenicy, pana M., który nie jeszcze o dokonanej transakcji nie wiedział, i tą samą pszenicę odeń nabywa. Jak się okazało (niestety, już po ugodowym załatwieniu sprawy), rzecz była przez owych dwu żydów ukartowana zgóry i ponieważ p. M. mógł dotrzymać umowy jednemu tylko nabywcy, przeto drugi za ustąpienie z kontraktu musiał być wynagrodzony. Wszelkie takie sztuczki z ekstra-filozoficzną rezygnacją znośimy, bo raz wyrobiwszy sobie niskie pojęcie o etyce żydowskiej, nie dziwimy się już nawet wcale, gdy jaki nowy zwindel na jaw wyjdzie, co gorsza, nie staramy się u nikąjąć stosunków handlowych z żydami nawet wówczas, kiedyby to nam bez uszczerbku przyszło; słowem, że nie popieramy lub niedość popieramy te nieśmiałe i nieliczne usiłowania nie-żydów handlowej konkurencji z dziećmi Izraela. Każdy szlachcic w teorii jest najzagorzalszym antysemitą, a w praktyce okazuje się najprawdziwszym żydofilem. To też mnożą się oni coraz bardziej i bardziej. W Hrubieszowie — wedle *Gazety lubelskiej* na 100 chrześcijan przypada 120 żydów, w Dubience na 100 chrześcijan 117 żydów. U niektórych sąsiadów naszych gorzej jeszcze: w Tomaszowie np. na 100 chrześcijan — żydów przypada 133, w Lubartowie 127, w Łęczynie 142, a w Zamościu aż 180!... *Tolimir*.

Dorohusk. Do *Gazety świętecznej* donoszą z okolic Dorohuska, w gub. lubelskiej, że Niemcy koloniści osiedli tam wszędzie nad Bugiem, zwłaszcza po lasach, zaczynają się tłumnie wynosić, niektórzy porzucają nawet zasiewy. Mówią, że jadą do Brazylii, gdzie im będzie znacznie lepiej.

Siemiatycze. (Kor. „Głosu”). Przed 4-ma dniami wynikł tu w samo południe pożar i zniszczył w przeciągu godziny trzynaście domów w rynku i w sąsiedniej uliczce. Z wyjątkiem jednego — reszta domów spalonych należała do żydów. Pożar zaczął się właśnie z komorki domu chrześcijańskiego, napełnionej słomą, powiadają że od niedopalonego papierosa, w takich razach trudno sprawdzić. Fakt, że właściciel tego domu, Jakubowski przed kilku miesiącami zmarł. Po trzech żonach zostawił kilkanaścioro dzieci i wnucząt, ostatniej żyjącej żonie dom zapisał dożywociem, ztąd rozterki między nią a dorosłymi już dziećmi z 2 ch pierwszych żon. To właśnie szczególnie, że pożar się wszczął ze stodołki pełnej słomy, wówczas gdy gospodyni była w kościele. Spaliły jej się wszystkie sprzęty i koń, zaledwie zdołano wyratować troje małych dzieci. Ratunek był, jak zwykle po małych miasteczkach: żydzi strasznie wrzeszczą, uciekają z betami, o jakiejś walce z ogniem ani myślą. Szczęściem pożar zdarzył się w święto i zarazem w jarmark, dużo więc było włościan i szlachty, ci dzielniej się sprawiali, furmanek gotowych do wożenia wody było aż nadto, ale cóż, kiedy znalezione tylko dwie i to łuche sikawki. Dopiero teraz po niewczasie zarząd miasteczka (tak zwana „uprawa”) ma wyasygnować na narzędzia ogniowe aż 2,000 rubli, niewiedomo tylko z kąd je weźmie, chyba w drodze składek. Przed 6 oiu laty spaliło się tu 50 domów i oto widzimy aż dwie sikawki; teraz pocieszajmy się, że będzie lepiej, bo pożarowi uległa nie jak wówczas hołota, lecz sami szejne-morejne: szynkarze i właściciele sklepików. Ratunek był taki, że z 3-ch stron pożar powstrzymały ulice, z ozwartej ogród. Nie obeszło się bez kradzieży, sam widziałem, jak u pewnego włościanina ze wsi Słochy-Ogrodniki, któremu potłukła nogę spadająca belka — wystawał z kieszeni platerowany widelec. Wskazałem mu corpus delicti, tłumaczył się, że ratując w pośpiechu, aby mieć ręce wolne do większych rzeczy, drobniejsze chował do kieszeni i w zanadrze; inne przedmioty pooddawał, a o widelcu, gdy nań spadła belka — zapomniał, przyrzekł solennie że odda właścicielowi. Może i prawda. Z tem wszystkim włościanie ze Słoch małych v. Ogrodnik i Dużych mają tu ustaloną w okolicy opinię pijaków, złodziei i awanturników. Przed 3-ma laty zabrali przejeżdżającemu z za Buga do Siemiatycz żydowi bryczkę z okowitą i gdy przyjechał na śledztwo asesor z 2-ma uradnikami, zaprosili policję do izby, zgasił światło i zbili wszystkich trzech na kwaśne jabłko. Za to 4-ch odsiaduje teraz więzienie. Żydy się skarżą że lud gapił się tylko na ogień, nie kwapiąc się do wynoszenia żydowskich ruchomości, było podobno parę wypadków wrzucenia napowrót w ogień wyratowanych już sprzętów; jednego słochowianina („słochowca”) ujęto już na końcu miasteczka z poduszkami pod pachą. Kościół a zwłaszcza b. klasztor był zagrożony, ale przemowa księdza poskutkowała i dach najbliższego domu żydowskiego pokryto w jednej chwili mokremi derami, chustkami, płachtami — czem kto miał. Proboszcza teraz chwala, że starał się kościół uratować, chociaż wielu zwłaszcza mieszczan zarzucało mu nawet i skarżyło o samowolną bez niczyjej wiedzy sprzedaż kosztownych gobelinów, będących własnością kościoła od dwóch wieków. N. N.

Z ZAGRANICY.

Poznań. (Kor. „Głosu”). Z powodu ustąpienia posła Graeego w okręgu szremskim odbędą się wybory do parlamentu. Ze strony naszej kandydatem będzie zapewne ks. Wawrzyniak, misjonarz w Szremie, dyrektor banku ludowego i wice-patron spółek pożyczkowych. W okręgu Szamotyły, Międzychod, Skwierzyna odbędą się znowu wybory do sejmiku pruskiego, ponieważ dotychczasowy poseł, dr. Nathusius stracił mandat, gdyż został prezesem policji poznańskiej. Niema tu jednak nadziei przeprowadzenia naszego kandydata. — Coraz to nowe majątki przechodzą w ręce niemieckie, w ostatnich czasach dzienniki zanotowały kilka podobnych sprzedaży, między innymi radzca Zborowski sprzedał majątność Gurówko (1,200 morgów) w powiecie gnieźnieńskim, hr. Szembek — Słupię, w pow. Kępińskim (1,433 hektarów) i t. d. — Zmarł tu dr. Jan Rymarkiewicz, synowiec znanego, a również niedawno zmarłego filologa. *Wojciechek.*

Kraków. (Kor. „Głosu”). Słowa moje, wypowiedziane kilka miesięcy temu, że śmierć Artura Potockiego zwiastuje klęskę stronnictwa stańcówkowskiego, sprawdzają się obecnie. Oczywiście, że z upadkiem moralnym kliki zagrożonym został w swych podstawach jej organ publicystyczny — „Czas”. Tak jest. Nie wiem, czy mi uwierzycie czytelnicy, jeśli powiem, że przed kilku dniami obawiano się w pewnych kołach, ażali to pismo, mające bądź co bądź swą 43-letnią historję, będzie dalej istniało. Powody bankructwa zwyczajne. „Czas” zaledwie kilkuset prenumeratorów płatnych posiadał, reszta numerów rozbodzi się darmo między przyjaciółmi dziennika. Dotąd łożył na „Czas” grube sumy Artur Potocki, którego własnością była również drukarnia pisma. W redakcyi i administracyi, obok kilku czynnych choć mało ruchliwych ludzi, znajdowały się ciepłutkie synekurki, co z natury rzeczy nie mogło podnieść siły materialnej niedołężnego organu. Koźmian, główny redaktor, bez powodzenia szukał prenumeratorów aż w Turcyi, dokąd udał się był z jakąś ciepłą wdówką, hr. Dębicki płakał wciąż w feljetonach nad zamożnymi koryfeuszami stronnictwa, a prof. Ziemia wypełniał dział „naukowy”... szaradami. Wobec tak świetnie zorganizowanego ciała redakcyjnego, nie dziw, że pismo to kwalifikowało się do każdego innego nżytku, tylko nie do czytania. Spadkobierca Artura Potockiego, hr. Andrzej, widząc, co się święci, dał obecnie 6,000 złr. od czepnego i nie chce mieć nic wspólnego z pp. redaktorami. Ztąd lament i płacz, ciche wymyślania na dobrodziejów, którzy w krytycznej chwili zawiedli, tak, że „Czas” na złość swym ex-protektorem zamierzał już wywieść inny sztandar, ale po namyśle uznał, że na takie eksperymenty zawsze dość czasu. Skończyło się więc na tem, że synekury zniesiono, płace poobcinano, a personel redakcyi i administracyi zredukowano ad minimum. Stały skład redakcyi staowią obecnie: Chyliński i Tomkiewicz (szefowie), dalej Czesław Pieniążek, Korzeniowski i Hopcas. Reszta poszła na lepszy chleb lokajski, a Koźmian będzie jako „Vervaltungsrath” z Wiednia obserwowal, o ile jego dawny pupil nie sprzeniewierza się blisko półwiekowej tradycyi. Układ „Czasu” zmienił się w ten sposób, że na czele numeru znajdujemy miasto artykułów politycznych (niekiedy doskonałych) opisy parku Jordana (zielono musi być w redakcyi) i zażartą polemikę z „Reformą” z powodu zjazdu historyków i dotąd nieprzetrawionego przez „Czas” przemówienia Asnyka w Paryżu. — Kiedy mowa o historyi, to nie od rzeczy będzie nadmienić, że jeden z przywódzców szkoły krakowskiej, którą ostatnio na zjeździe tak dobitnie skrytykował Korzon — pr. Michał Bobrzyński zrezygnował z profesury na uniwersytecie i przyjął godność „ministra oświaty” dla Galicyi, tj. nowokreowaną posadę wiceprezydenta rady szkolnej krajowej we Lwowie. Nowy „ściślejszy minister” będzie więc niezależnie od namiestnika kierował w kraju sprawami szkolnietwa a za te usługi dostanie 4,000 złr. Dowiaduję się, że nominacyja pr. Bobrzyńskiego zostanie niebawem oficjalnie ogłoszoną. O tem, czy nie byłoby bardziej właściwem, aby posada ta dostała się fachowemu urzędnikowi a nie politykowi, pomówimy innym razem. — Z początkiem nowego roku akademickiego mają się habilitować na tutejszym uniwersytecie: dr. Baudoin de Courtenay, dr. K. Górski i dr. Porębowicz. — Dyrekcyjja szkoły sztuk pięknych nie przyznała w roku bieżącym medala złotego żadnemu z uczniów. Medale srebrne otrzymali: Emil Lindeman (obraz) i W. Bebnowski (rzeźba). Drukarze tutejsi uchwalili obchodzić uroczystość 450 letnią rocznicę wynalazku Gutenberga. — Znany adwokat tutejszy, prokurator izby adwokackiej dr. Władysław Leszko zmarł w Gleichenbergu. *Voz.*

Lwów. (Kor. „Głosu”). Krajowe biuro statystyczne, zostające pod kierunkiem prof. Tadeusza Pilata, wykończa obecnie większą pracę pt.: „Statystyka własności tabularnej w Galicyi”. Prócz tego zajmuje się biuro opracowaniem kwestyi handlu Galicyi z Niemcami, na podstawie statystyki ruchu towarowego na kolejach niemieckich.

Na ukończeniu również znajduje się obszerniejsza historyczno-statystyczna praca pt.: „Galicyja w budżecie państwa, przedstawiająca gospodarstwo finansowe państwa w Galicyi od r. 1772, podatki krajowe, przyczynianie się Galicyi do wspólnych potrzeb monarchii i t. d. Sprawa fundacyi bar. Hirscha zaczyna gmatwać się na nowo. Wobec tego, że rząd ostatecznie oświadczył, iż tylko pod tym warunkiem zatwierdzi zapis, jeżeli Hirsch przyzna mu prawo nominacyi członków kuratorji — filantrop paryski wzbrania się ustąpić a odmowę swą uzasadnia tem, że rząd, który z natury swej jest zmienny i którego późniejsze zapatrywania na sprawę żydowską przewidzieć się nie dadzą miałyby w takim wypadku przeważny wpływ na fundacyję. Jednocześnie podniesiono na Bukowinie projekt rozdzielenia fundacyi hirszowskiej na dwie: bukowińską i galicyjską. W tym celu wybrany został komitet, który ma opracować petycyję o uznaniu fundacyi Hirscha, nie jako instytucji obejmującej Galicyję i Bukowinę, lecz jako dwóch samostatnych fundacyi. — Sprawa założenia wydziału lekarskiego na tutejszej wszechnicy wchodzi w stađyjum blizkiego urzeczywistnienia. Senat uniwersytetu wysłał do ministerstwa oświaty memoriał, w którym żąda: a) ustanowienia na razie katedry anatomii ciała ludzkiego b) katedry fizjologii z histologiją a zatem i wybudowania prosektoryjum (na co rada gminna dała 30,000 złr. i wreszcie; c) nadania prawa składania rygorozów przed specjalną komisją we Lwowie. Ze sprawozdania ruskiego Tow. „Proświta” za rok ubiegły dowiadujemy się, że instytucyja ta wydała 12 tomików dziełek ludowych. Majątek tow. wynosi 31,368 złr. pasywa 478 złr. — Dr. Jan Bołoz Antoniewicz ma się habilitować na docenta literatury niemieckiej przy lwowskim uniwersytecie. — Miasto Mikolajew (pod Stryjem) zgorzało dzisiejszej nocy do połowy. Gdzie spoczywa referat o przymusowej asekuracyi? — nie wiedzieć. *Lambda.*

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

I na obecnem swem stanowisku opozycjonisty quand même — pozostaje ks. Bismarck wiernym swym dawniejszym antypatjom, zaszczycając szczególniejszą nienawiścią socyalnych demokratów i polaków.

Widząc, że prawa wyjątkowe przeciw socyalistom niebawem przejdą w dziedzinę historyi — bije żelazny kanclerz w dzwon trwogi i niestrudzenie powtarza różnym reporterom krajowym i zagranicznym o strasznej katastrofie, jaką nieomieszka sprowadzić na ojczyznę niemiecką czerwona międzynarodówka, jeżeli się jej zawczasu nie zdusi represaliami.

Tymczasem zachodzi możliwość, że socyalni demokraci stać się mogą znacznie mniej groźnymi dla istniejącego rzeczy porządku, jeżeli pójdą dalej po drodze wewnętrznych walk i swarów, na którą wkroczyli od czasu konferencyi robotniczej. Zwarte dotąd stronnictwo rozbiło się na 2 części: umiarkowanych liczących podobno na wspaniałomyślność młodego monarchy i skrajnych, liczących wyłącznie na siebie.

Jest to, jak dotąd, jedyny widoczny skutek „dobrych chęci” cesarza Wilhelma względem czwartego stanu.

Drugą zgrzyotą wielkiego męża jest, że od czasu jego ustąpienia nie wynaleziono żadnego nowego sposobu cieżnienia ludności, z boskiego gniewu podwładnej berlu Hehenzollernów.

Widzi książę Bismarck, że owe sławne edykty poznańskie, które przyniosły jedynie hańbę niemieckiemu imieniu i ściągnęły na Niemcy odwet ościennego mocarstwa — mogą stać się martwą literą i nienawistny żywioł znowu swobodnie napływa do granicznych powiatów. Ze szczególnym wszakże naciskiem ostrzega eks-kanclerz przeciwko konszachtom rządu z frakcyją polską — nie do brego z owej komedyi nie widząc, w czym z całego serca możemy się z nim zgodzić. Polacy, woła organ księcia, głosowali za ustawą, wiedząc dobrze, że przyjęcie jej jest zapewnione. Było więc to z ich strony zręczne posunięcie na szachownicy politycznej, przez nie bowiem zyskali sympatyje narodu niemieckiego i zobowiązali rząd. Według ks. Bismaroka, Polaków żadne ulgi nie zadowolnią, skorzystają z nich jedynie dla tem energiczniejszego prowadzenia wielko-polskiej agitacyi, a w chwili stanowczej staną na czele krucyjaty słowiańskiej przeciw germanizacji.

Dnia 17 sierpnia b. r. stanie władca Niemiec na ziemi ruskiej, w celu, jak twierdzą niektórzy, skłonienia potężnego mocarstwa wschodniego do wzięcia udziału w kongresie międzynarodowym, który zajmąby się uregulowaniem stosunków międzypaństwowych, nieporozumienia usunąć, słusznym żądaniem zadosyćuczynić i przez to pozwolić Europie zrzucić z siebie tą żelazną zbroję, w której już jest jej niezdolność ciężko. Naowym kongresie

miałaby zostać podniesioną sprawa utworzenia z Alzacyi i Lotaryngii neutralnego Zwischenstaatu.

Myśl tę rozwija świeżo wydana w Berlinie broszura, autor której oczekuje spełnienia tej idei od monarchy, który, wbrew dotychczasowemu porządkowi — miano wspaniałomyślnego zyskał dopiero po włożeniu korony na swą głowę.

Trudno wszelako pomysł ów brać na seryjo.

Zbyt wiele nagromadziło się w Europie krzywd i nie-nawisć, zbyt długo gwałcono wszelkie prawa ludzkie i naturalne, zbyt usilnie zresztą oswajano umysły z myślą o krwawej, powszechnej rozprawie — ażeby można było na raz przejść do sądów amfiktyjońskich.

Wojna nie jest rzeczą obrachunku, ten bowiem poucza, że jest ona w każdym wypadku klęską, wojna jest objawem psychologicznym — epidemiją moralną.

Otóż dla takiej epidemii nigdy nie było lepiej przygotowanego gruntu.

To też bardziej swojsko brzmi nam w uszach komentarz do cesarskiej podróży podany przez *Kreutz Zeitung*, organ hr. Walderse. Według tego organu, celem podróży jest skłonienie Rosyi do ustępstw w zakresie polityki wschodniej.

W razie trwania Rosyi w raz obranym kierunku — grozi zuchwale organ p. ministra wojny - programem: oderwania Finlandyi na korzyść Szwecyi, cofnięcia zachodniej granicy Rosyi do 30° długości geograficznej, słowem przemawia takim tonem, jakiego oddawna nie pozwalały sobie gazety niemieckie.

Na te groźby przychodzi na myśl klasyczna odpowiedź ateńczyków: „przyjdź i weź.”

Podczas, kiedy uzbójona od stóp do głów Europa oblewa się zimnym potem na myśl o przyszłej rozprawie, gorzej wyekwipowani potomkowie Montezumy i Pizarra okazują więcej determinacyi.

Pięć rzeczpowszecznych Ameryki, postanowiwszy złąć się w jeden związek, rozpoczęły nowy okres od tego, że w Guatemali wybuchnęła rewolucyja, w czem sąsiadka jej San-Salwador dostrzegła wyborną sposobność do wtargnięcia w granice aliantki.

Jest niepłonna nadzieja, że trzy pozostałe państewka pójdą za dobrym przykładem swych siostrzyc.

Z jakich powodów obywatele szczęśliwej Argentyny zapragnęli nagłych zmian politycznych — nie wiadomo.

Faktem jest, że w Buenos-Ayres bije się lud z wojskiem, a z za Andów wtoruje tej walce echo strzałów na ulicach Valparaiso. Jak widać, u antypodów sezon ogórkowy nie prędko się jeszcze rozpocznie.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Życie społeczne.** Kasa zaliczkowo-wkładowa urzędników telegrafu warszawskiego okręgu pocztowo-telegraficznego liczyła w r. z. 273 uczestników, posiadających 16,457 rs. 40 kop. kapitału, z czego na wkłady obowiązkowe przypada 13,582 rs. 80 kop. W ciągu roku wydano 315 pożyczek na sumę 38,024 rs. 60 kop. Przy tej kasie istnieje już drugi rok kasa pomocy, której zadaniem jest udzielanie członkom, opłacającym 7% od pobieranej pensyi, wsparó lub pożyczek bezprocentowych. Kapitał tej kasy wynosił 760 rs., z czego wydatkowano 450 rs., a mianowicie: na 15 wsparó 350 rs. i na 2 pożyczki po 50 rs. — Ministeryjum zatwierdziło ustawę kasy zaliczkowo-wkładowej urzędników zarządu powiatowego i miejskiego w Grójcu. — Inspekcyjja fabryczna okręgu warszawskiego przygotowała blankiety schematów do notowania nieszczęśliwych wypadków, jakie zdarzają się w fabrykach. W pierwszej połowie blankietu znajduje się krótki kwestyjonyjusz, zawierający dane o stanie osobistym i rodzinnym robotnika, a maszynie i środkach bezpieczeństwa. Drugą część blankietu wypełnia lekarz, który winien przedstawić przebieg choroby i wyrazić zdanie, czy i o ile wypadek zmniejsza zdolność zarobkowania. — Do cudzoziemców, przeważnie Niemców należy 9,06% własności ziemskiej w Królestwie, najwięcej w powiatach ślupeckim — 44,8%, łódzkim — 29%, częstochowskim — 21,4% i będzińskim — 14%.

— **Kronika ekonomiczna.** Wkrótce mają być rozpoczęte pomiary na Wiśle, Narwi, Bugu, Wieprzu i Pilicy w celu sporządzenia kosztorysów robót regulacyjnych na tych rzekach. — Ogłoszone zostało prawo o wykupie przez skarby kolei tambowsko-kołowskię. — Podobno rząd już zatwierdził przepisy o zwrocie cla od bawelny, użytej na wyroby dla wywozu za granicę. — Na urządzenie i utrzymanie wystawy i składu towarów ruskich w Bukareszcie rząd wyznacza subsydyjum roczne w sumie 20,000 rs. — Wystawa ogrodnicza w Petersburgu otwartą zostanie d. 23 września. — Została zatwierdzona ustawa towarzystwa magazynów towarowych, ubezpieczenia i transportowania towarów, z wydawaniem zaliczeń. Będzie to pierwsza w

Rosji instytucja warrantowa. — Według informacji departamentu górnictwa obecnie cudzoziemcy wydali na organizację eksploatacji górniczej w południowej Rosji około 60,000,000 fr.

— **Szkoly i oświata.** W uniwersytecie czeskim w Pradze otwarty będzie wydział teologiczny. — Towarzystwo ochrony zdrowia ludu zwróciło się do ministerjum z podaniem w kwestyi złego stanu sanitarnego lokalów średnich zakładów naukowych, zwłaszcza gimnazjów. — W szkołach fińskich ma być znacznie wzmocniony wykład języka ruskiego, oraz historii i geografii Rosji.

— **Literatura i sztuka.** W Petersburgu wyszło dziełko p. Jollego „O wykształceniu ludowem w państwach Europy zachodniej” — Ostatni Nr. „Bulletin polonais” zawiera streszczenie pracy A. Sokolowskiego o mieszczaństwie w końcu wieku zeszłego, studia nad religiją słowian starożytnych p. Michałowskiego; historyję geometrii i w Polecie i parę innych. — Za watek „Pieniądza” Zoli mają służyć dzieje zakładu finansowego „Union Generale”; osobą zaś „od autora” ma być socjalista myśliciel, podobnie jak Suwarin w „Germinalu”. — Nowy dramat W. Sardou nosi tytuł „Thermidor” i obejmuje wypadki z dnia 9-go września 1794 r. — W Odesie miejscowy przedsiębiorca urządza czasową wystawę obrazów malarzy warszawskich — S. Wolski wykończył wielkich rozmiarów obraz p. t. „Spowiedź w polu”. — Jan Rosen wspólnie z pr. Rouband pracują obecnie nad panoramą epizodów wojny krymskiej.

Rozmaitości. Drogi żelazne będą otrzymywały od głównego obserwatorium fizycznego w Petersburgu zawiadomienia telegraficzne, jeżeli danej kolei grozi burza z wichrem lub ulewą. — Paweł Giffard wynalazł broń nabijaną gazem skroplonym. — Napływ żydów rosyjskich i polskich do Stanów Zjednoczonych stale się zmniejsza. W 1888 roku przybywało ich miesięcznie średnio 1,734, w r. z. już tylko 1,331, a w r. b. 1,117. — Telefony, jak się okazuje z ogłoszonego świeżo wykazu, najbardziej są rozpowszechnione w Szwecyi, gdzie na 10,000 mieszkańców przypada 27,2 abonentów. Następnie idą: Luksemburg — 22,6, Szwajcaryja — 22,4, Norwegija — 20 abonentów na 10,000 ludności; w Belgii już tylko 7,8, w Hollandyi — 6,5 a w Anglii 5,4.

— **Zmarli.** Jarzýmowski, utalentowany rzeźbiarz, zm. we Lwowie. — Maksymilian Fajans, artysta litograf, założyciel pierwszego zakładu litograficznego w Warszawie. — Ludwika Ciechomska, rzeźbiarka, zm. w Warszawie.

Odpowiedzi od Redakcyi i Administracyi.

Parafjaninowi w Bzinie. Serdeczne dzięki za życziwe poparcie. Prosimy i nadal nadsyłać autentyczne wiadomości. Słusznie przez pana postawiony warunek obowiązkowo spełniony.

P. Bog. w Stawr. Numera 27, 28 i 29 wysłaliśmy powtórnie. Wogóle stałym prenumeratorem nie przerywamy wysyłania. Prosimy zawsze reklamować na poczoie.

P. Int. B. w Pyzdrach. Podniesiona przez pana kwestya jest tak ciekawą, że można by jej poświęcić cały artykuł. Na razie odpowiadamy w fejetonie. Zaspakajanie wszystkich potrzeb duchowych naszych czytelników uważamy za nasz miły i bezpośredni obowiązek. To jedno z najgłówniejszych zadań pisma. Prosimy przeto i na przyszłość ze wszystkimi kwestyjami zwracać się do nas.

P. Karp. w Wapn. Serdecznie dziękujemy za pamięć i życziwe słowa zachęty. Przyznajemy zupełną słuszność waszym uwagom. W szeregu reform, jakie wprowadzimy z końcem lata, będzie stanowczo uwzględnione i wasze życzenie. Rachunek podany dokładnie.

P. Arc. w Pol.-Woj. Na trzeci kwartał pozostawało 98 kop. Z przysłanych 3 rs. zaliczyliśmy 75 kop. za Bellamy'ego, 40 kop. Kłosy (wysłane), 1 rs. 27 kop. na III kw. i 58 kop. na IV kw. Zatem należy się nam jeszcze 1 rs. 67 kop.

P. Michał. w Podl. Najmniejszej nie ma podstawy zdziwienie pańskie. Zkądże możemy wiedzieć, że pod pseudonimem „prenumeratorem z Litwy” ukrywa się rzeczywicie nasz prenumeratorem, a tylko jemu wszelkie informacje dawać winniśmy. Wszelako jeśliby chodziło o kwestyję obojętną, dalibyśmy odpowiedź i interpelantowi, ukrywającemu swe nazwisko. Zgodzi się pan, że w owem ukrywaniu się mogliśmy podejrzewać poprostu manewr p. P., który nie cofa się przed żadnym środkiem. Prosimy zwrócić uwagę, że w omawianym artykule i w interesującej pana kwestyi użytem jest słowo „pomówiono”, składać więc dowody winni ci, którzy zarzut ten publicznie i prywatnie p. P. czynią. Że zaś to są ludzie ze wazech miar uczciwi, więc i w słowa i w ich dowody wierzymy. My ze swej strony posiadamy w ręku oficjalne protokoły, dotyczące innych zarzutów. Jeśli pana interesują szczegóły, zaznaczamy, że chodzi tu o futro, które przed kilku laty w drodze z Łowicza do Petersburga „zginęło.”

P. Jod. w Petersb. Kto jest p. A. P. nie wiemy. Informacyją służyć z przyjemnością będziemy, prosimy tylko bliżej określić, o co właściwie pani chodzi.

P. Stef. Juszc. w Tunce. Bożki buriackie otrzymaliśmy i doręczyliśmy Muzeum Etnograficznemu, założonemu przy ogrodzie zoologicznym. Muzeum byłoby wam bardzo wdzięczne za dostarczenie innych ciekawych okazów.

P. H. Szl. Kors. Z przysłanych 6 rs. 25 kop. zaliczyliśmy: na Głos 4 rs. 50 kop., Bellamy 75 kop., III z. Marksa 1 rs. (należy się nam za przesyłkę 20 k.), Inst. Obrz. wysyłamy powtórnie.

Dr. Land. Kubę Gąsiora wysyłamy, Bellamy'ego natychmiast po wyjściu.

P. Al. Grab. w Dąbr. Dzięki serdeczne za tak życziwe obietnice popierania pisma. Tylko przy energicznej pomocy naszych zwolenników będziemy mogli stale organ nasz rozwijać i ulepszać. I z. Inst. obrz. wysyłamy.

P. Reut. w Kijowie. Z przyjemnością udzielimy panu dokładnych informacji o zakładach rzemieślniczych, prosimy tylko bliżej objaśnić nas, o jaką specjalność panu chodzi i czy o zakład męski lub też żeński.

P. Jak. w Bielsku. Z przysłanych 2 rs. zaliczyliśmy 1 rs. 50 k. na II kw. i 50 k. na III kw.

P. Zał. w Bugaju. Z przysłanych 3 rs. zaliczyliśmy 2 rs. 25 k. na III kw. i 75 k. na Bellamy'ego.

P. Sos. w Antonopolu. Komplet wysłany pod starym adresem. Z przysłanych 3 rs. zaliczyliśmy 50 k. na kw. II, 1 rs. 75 k. na kw. III i 75 k. za Bellamy'ego.

Panu J. K. w Pińczowie. Autorowie kwestyjonyjuszka będą wdzięczni panu chociażby za opracowanie jednego tylko działu. Może pan również przysłać oceny ludowe pojedynczych książek. Wogóle jakkolwiek pożądana jest odpowiedź wyczerpująca na cały kwestyjonyjusz, to jednak przyjętem będzie z wdzięcznością każde opracowanie pojedynczej jego części lub zagadnienia.

P. Lazar. w Ber. Numery wysłaliśmy powtórnie. Należało reklamować na poczoie.

W redakcyi „Głosu” nabywać można:

SZKICE

Adama Szymańskiego

tom II

cena 1 rs. 40 kop., z przesyłką 1 rs. 65 kop.

OGŁOSZENIA GŁOSU.

Adres: ulica Marszałkowska
Nr. 123.

Cena całego dzieła, Cena zeszytu
opłacona z góry 7 rs. 15 kop.

Encyklopedyja
Encyklopedyja
Encyklopedyja

E. H.

Humoru
Humoru
Humoru

Cena tomu opła- Wychodzi mniej więcej
conego z góry 2 rs. w odstępach tygodni.

Pince-nez, Okulary, Perspektywy teatralne, wyłącznie z pierwszorzędných fabryk, w najnowszych fasonach, poleca najtaniej optyk

Juljan Dreher

Szpitalna Nr. 6.

Wszelkie reperacyje przyjmuje.
6—1

**WINA KRYMSKIE I KAUKAZKIE
UZNANEJ DOBROCI**

począwszy od 30 kop. jako też analizowany jako prawdziwy wyrób wina i przez powagi lekarskie zalecany,

**COGNAC
KRYMSKI**

Kuracyjny
poleca Skład Win
BRACI KEMPNERÓW
Długa Nr. 5.
1/1 but. rs. 1,50, 1/2 but. 80 kop.
1/4 but. 40 ko p.

Podziękowanie. Czuję się w obowiązku publicznie podziękować W-mu Juljanowi Dreherowi, optykowi przy ulicy Szpitalnej N. 6 za dobrze dobrane mi okulary, odznaczające się istotnymi zaletami. To samo powiedzieć można o binoklach, które się okazały lekkimi i wygodnymi w użyciu.

3—1 Redaktor Zorzy M. Malinowski.

Ostrzeżenie. Ogłoszony oryginalny „Exsiccator” jest wtenczas prawdziwym, jak posiada przez Rządy wielu Państw Europejskich zatwierdzoną markę fabryczną.

ZATWIERDZONY PRZEZ RZĄD

EXSICCATOR

Osusza wilgoć, zabezpiecza od gnicia i grzybka, zastępuje farby. Broszurki bezpłatnie. — Inz. G. Ritter.

39 Królewska 39

POSZUKUJE AGENTÓW

Medal Warszawa 1885. Medal Warszawa 1886. Herb Państwa Austriackiego. Medal Kraków 1887. Dyplom Honorowy Symferopol 1888 i 1000-ce świadectw za skuteczność otrzymano. Ważny dodatek do broszurki II wydanie z ilustracyjami bezpłatnie (franco). Uwaga. Wynalazku mego nie należy porównywać z reklamowanymi w ostatnich czasach goudronitami i Carbolinum gdyż takowe niszczą więcej drzewo i mury niżeli konserwują, o czem dowody w broszurkach umieszczono.

Nakładem Głosu

świeżo wyszło z druku dzieło
Herberta Spencera
pod tytułem

INSTYTUCYJE OBRZĘDOWE

tłumaczone z oryginału przez
J. K. Potockiego.

Cena rs. 1 kop. 30.

Dla prenumeratorem „Głosu” rs. 1.
oraz I zeszyt

Instytucyj Politycznych

Herberta Spencera

w tłumaczeniu J. K. Potockiego

Cena z przesyłką 75 kop.

Odbitki dwóch kwestyjonyjuszów do zbierania wiadomości o oświacie ludowej pod tytułem

CO I JAK LUD NASZ CZYTA?

M. BRZEZIŃSKIEGO.

W SPRAWIE

CZYTELNICTWA LUDOWEGO

ANTONIEGO POTOCKIEGO

Zygmunta Wasilewskiego.